W pokoju bez okien
W towarzystwie cieni
Wiesz, że nie zapomną o tobie
Zabiorą cię
Emocjonalnie zranioną
Nie martw się tym
Zacznij od nowa

W świecie za szybą
Widzisz, jak przechodzi świat
I nikt nie może cię dotknąć
Myślisz, że jesteś bezpieczna,
Ale zimny podmuch wiatru
Może wtargnąć w głąb twojej duszy
Tam, gdzie nic nie może cię zranić
Aż do chwili, gdy jest za późno

Biegnij, aż padniesz
Czy wiesz, jak się zatrzymać?
Wszyscy wkoło przechodzą obok
Machasz im na pożegnanie.
Ledwie się uśmiechnęli
Bo wyglądasz jak dziecko
Nigdy nie myślałaś, że cię zasmucą
Widzieli, jak płaczesz

Zatem przyjmij moją radę
Nie oglądaj się na ekspertów
Nie zastanawiaj się dwa razy
Po prostu posłuchaj
Biegnij i ukryj się
W zakamarkach swojego umysłu
Sama
Jak nikt nigdzie.

Jest to historia dwóch bitew, bitwie, aby pozostać poza „ światem" i bitwie, by się do niego dołączyć. Opowiada o bitwach wewnątrz „mojego świata", potyczkach, taktyce i ofiarach mojej prywatnej wojny przeciw innym

Jest to moja próba zawarcią rozejmu na moich warunkach. Podczas mojej prywatnej wojny występowałam jako ona, jako ty, jako Donna i jako mnie, a wreszcie jako ja. Każda z tych części opowie, jak było i jak jest.

Jeżeli węszysz dystans, masz rację: on istnieje. Witaj w moim świecie.

NIKT NIGDZIE

Pamiętam mój pierwszy sen. Poruszałam się w zupełnie białej przestrzeni pozbawionej przedmiotów. Ze wszystkich stron otaczały mnie jasne plamy puszystego koloru. Przechodziłam przez nie tak, jak gdyby ich w ogóle nie było. Chciało mi się z tego śmiać.

Ten sen pojawił się w mojej świadomości wcześniej niż sny o odchodach, ludziach i potworach; zanim jeszcze potrafiłam dostrzec różnicę między tymi ostatnimi. Nie miałam jeszcze wtedy trzech lat. Ten sen przedstawiał świat takim, jakim go wówczas widziałam. Kiedy nie spałam, podążałam za nim bez wytchnienia. Odwracałam się w stronę światła, które, wpadając przez okno, zatrzymywało się przy moim łóżeczku, i gwałtownie pocierałam oczy. Widziałam je. Jaskrawe, puszyste kolory przenikające biel. „Przestańcie!" – słyszałam jakiś natrętny głos. I znów pocierałam wesoło oczy.

Zauważyłam, że w powietrzu było mnóstwo plam. Kiedy patrzyłam w przestrzeń, widziałam plamy. Ludzie przechodzili obok, przeszkadzając mi w moim magicznym odbiorze rzeczywistości. Ja przechodziłam koło nich i słyszałam, jak coś mamrotali. Moim ogromnym pragnieniem było zagubić się w tych plamach. Nie zwracałam uwagi na to, co mówią ludzie. Patrzyłam poprzez nich spokojnie, ciesząc się, że gubię się w moich plamach. Uczyłam się „świata".

Po jakimś czasie nauczyłam się uciekać od świata, w co tylko chciałam. Mogły to być wzory na tapecie lub dywanie, jakiś powtarzający się dźwięk; na przykład głuchy odgłos, jaki powstawał, kiedy klepałam się po brodzie. Nawet ludzie nie stanowili już problemu. Ich słowa wydawały mi się bezładną paplaniną, a ich głosy jedynie szeregiem dźwięków. Mogłam przez nich patrzeć aż do chwili, kiedy mnie już z nimi nie było. Później nauczyłam się zatracać nawet w ludziach.

Słowa nie stanowiły problemu. Kłopot polegał na tym, że ludzie oczekiwali ode mnie jakiejś reakcji. Żeby jednak odpowiednio zareagować, musiałabym porzucić mój własny bezpieczny świat na rzecz świata innych ludzi, a tego nie chciałam.

– Co ty właściwie wyrabiasz? – dobiegł mnie głos.

Świadoma, że tylko udzielenie odpowiedzi może mnie uwolnić od wzrastającej irytacji pytającego, powtarzałam: – Co ty właściwie wyrabiasz? – nie kierując tych słów do nikogo w szczególności.

– Nie powtarzaj wszystkiego, co mówię – zabrzmiał karcący głos.

Czułam, że powinnam odpowiedzieć, i mówiłam: – Nie powtarzaj wszystkiego, co mówię.

Zupełnie nie miałam pojęcia, czego ode mnie oczekiwano.

Tak wyglądał mój sposób porozumiewania się z ludźmi przez pierwsze trzy i pół roku życia. Intonacja i fleksja mojego języka identyczne były z intonacją i fleksją ję-

zyka tych, o których myślałam, że stanowią „świat". A świat wydawał się niecierpliwy, irytujący, nieczuły i bezlitosny. Nauczyłam się reagować na niego w sposób, na jaki według mnie zasługiwał – płakałam, piszczałam, ignorowałam go i uciekałam od niego.

Pewnego razu zdarzyło mi się zrozumieć zdanie, a nie tylko „usłyszeć" je, a to ze względu na znaczenie, jakie ono dla mnie miało. Miałam wtedy trzy i pół roku. Moi rodzice byli z wizytą u swoich przyjaciół, a ja znajdowałam się w przedpokoju niedaleko salonu. Kręciłam się w kółko z rozpostartymi ramionami, wydobywając z siebie dźwięki zbliżone do brzęczenia. Wydaje mi się, że znajdowały się tam również inne dzieci, ponieważ to, o czym rozmawiano, intrygowało mnie i zawstydzało. Ktoś zadał pytanie, czy potrafię już sama korzystać z ubikacji. Moja matka odpowiedziała, że ciągle jeszcze załatwiam się w majtki.

Być może ta rozmowa właśnie sprawiła, że odczułam potrzebę udania się do toalety. Pamiętam, że w tamtym czasie wizyty w tym miejscu napawały mnie grozą. Miałam zwyczaj powstrzymywania się od wypróżniania przez bardzo długi czas aż do momentu, kiedy już nie wytrzymywałam i robiłam to w majtki. Czasami trwało to kilka dni i dostawałam takiego zatwardzenia, że z moich jelit wydobywała się tylko żółć. Później odczuwałam również lęk przez jedzeniem. Miałam ochotę tylko na krem, galaretkę, owoce, sałatę, miód i chleb posypywany kolorowymi przyprawami, które przypominały plamy z moich snów. Myślę, że przede wszystkim jadłam te rzeczy, które lubiłam oglądać i dotykać, oraz takie, które wzbudzały we mnie jakieś miłe skojarzenia. Na przykład króliki jedzą sałatę. Uwielbiałam puszyste króliki, więc jadłam sałatę. Uwielbiałam kolorowe szkło, przez które można było patrzeć i które przypominało galaretkę. Uwielbiałam galaretkę. Podobnie jak inne dzieci jadłam śmieci, kwiatki, trawę, kawałki plastiku. W przeciwieństwie do nich jednak jeszcze w wieku trzynastu lat jadłam kwiatki, trawę, korę i plastik. Kiedy byłam nastolatką, moje zwyczaje niewiele się zmieniły. Jeśli coś mi się podobało, zatracałam się w tym zupełnie. To rzeczy, a nie ludzie stawały się częścią mnie.

Kiedy miałam trzy lata, stwierdzono u mnie oznaki niedożywienia. Nie byłam wprawdzie bardzo chuda, ale miałam niebieskawą skórę, na której już przy lekkim dotknięciu robiły się siniaki. Wychodziły mi rzęsy i krwawiły dziąsła. Moi rodzice podejrzewali, że mam białaczkę, i uznali, że trzeba zrobić test krwi. Lekarz pobrał mi krew z małżowiny usznej. Poddałam się temu zabiegowi bez żadnych oporów. Byłam zaintrygowana wielobarwnym krążkiem wykonanym z tektury, który od niego dostałam. Sprawdzano również mój słuch. Moja mimika nie odbiegała wprawdzie od normy, ale podejrzewano, że jestem głucha. Moi rodzice stali za mną i co jakiś czas głośno wymawiali jakieś dźwięki, ale moją jedyną reakcją było co najwyżej zmrużenie oczu. „Świat" po prostu do mnie nie docierał.

Zdawało mi się, że słyszę w mojej duszy szept.
Wszystko jest niczym, a nic jest wszystkim.
Śmierć w życiu i życie w fałszu śmierci.

Im bardziej poznawałam świat, jaki mnie otaczał, tym bardziej się go bałam. Ludzie byli moimi wrogami, a ich bronią była ochota zbliżenia się do mnie. Wyjątek stanowili tu moi dziadkowie, mój ojciec i moja ciotka Linda.

Do dziś pamiętam zapach mojej babci. Nosiła ciężki naszyjnik. Była miękka, pokryta zmarszczkami; nosiła rzeczy robione na drutach, w które mogłam wtykać palce, miała ochrypły, wesoły głos i pachniała kamforą. Kiedy byłam w sklepie, ściągałam kamforę z półek, a dwadzieścia lat później kupiłam ogromne ilości olejku eukaliptusowego i rozlałam go w całym pokoju tak, aby czuć było tylko ten jeden jedyny zapach, z którym wiązały się tak miłe wspomnienia. Zbierałam skrawki kolorowej wełny i kawałki materiałów zrobionych na szydełku. Czułam się bezpieczna, kiedy zasypiając mogłam włożyć w nie palce. Moja sympatia do ludzi przejawiała się w przywiązaniu do rzeczy należących do nich lub w jakiś sposób do nich podobnych, i rzeczy te stanowiły dla mnie ochronę przed rzeczami należącymi do ludzi budzących we mnie lęk.

Na wypadek, gdybym zagubiła moje ukochane przedmioty lub gdyby mi je zabrano, miałam przygotowanych szereg magicznych zaklęć, które zamierzałam rzucać na wszystkich stanowiących dla mnie jakieś zagrożenie. To, że się tak zachowywałam, nie wynikało z choroby psychicznej, ani też z halucynacji, ale było po prostu moją obroną przed przytłaczającym lękiem przed zranieniem.

Mój dziadek karmił mnie rodzynkami i biszkoptami. Wymyślał specjalne nazwy dla wszystkiego, co nas otaczało; doskonale znał swojego słuchacza. Rozumiał mój świat, a jednocześnie potrafił zafascynować mnie światem, w którym sam żył. Miał kilka kuleczek z płynnej rtęci, które rozpadały się na mniejsze części i goniły jedna drugą. Taka forma pościgu była bezpieczna, gdyż porozumiewanie się za pomocą przedmiotów było dla mnie bezpieczne. Specjalne nazwy na wszystko, co nas otaczało, stwarzało „nasz mały, wspólny świat" – świat dla mnie bezpieczny. Każdego ranka, kiedy panował jeszcze półmrok, chodziłam do chaty, w której mieszkał dziadek.

Pewnego dnia, kiedy poszłam go odwiedzić, nie zauważył mnie. Leżał na boku z siną, pokrytą plamami twarzą. Nie obudził się już nigdy więcej. Nie mogłam mu tego wybaczyć aż do czasu, kiedy skończyłam dwadzieścia jeden lat i zrozumiałam, że ludzie nie umierają celowo. Opłakiwałam go bardzo długo. Zajęło mi to szesnaście lat.

Ojciec przestał dla mnie istnieć, kiedy miałam mniej więcej trzy lata. Do tego wieku intrygowało mnie w nim – podobnie jak w przypadku dziadka – że nadaje przedmiotom specjalne nazwy. Istniał na przykład mężczyzna, którego nazywał Cyryl-chytrusek, na koty mówił – Brookenstein, na łóżko – Charlie Wanton, a na mnie – Polly the Possum albo – Panna Polly. Nazwał mnie tak, ponieważ do czwartego roku życia powtarzałam bezmyślnie wszystkie usłyszane słowa, zupełnie jak papuga.

Mój ojciec dostarczał mi rozmaitych błyskotek, za którymi tak bardzo przepadałam. Co tydzień przynosił mi jakąś nową rzecz i mówił o niej w taki sposób, jak gdyby miała nadzwyczajne właściwości. Siedziałam u niego na kolanach wpatrzona w jakiś przedmiot i słuchałam go niczym nagrania z płyty. W myślach układałam sobie wstęp do tych opowieści, który wyglądał na przykład tak – „Oto oryginalna, długogrająca płyta, a to ja – opowiadacz bajek. A teraz przechodzimy do historii o..." Nadal przechowuję te skarby, choć upłynęły już dwadzieścia trzy lata. Wówczas ojciec – kimkolwiek wtedy dla mnie był – opuścił mnie. Kiedy wiele lat później odkryłam nowego mężczyznę, którego polubiłam, potrzebowałam kilku lat, żeby zrozumieć, że tych dwoje ludzi było w gruncie rzeczy tą samą osobą.

W mojej matce było tyle surowości, ile we mnie delikatności, a jednak obie byłyśmy nieprzystępne i zdystansowane.

Miałam starszego brata. Myślę, że stał się on jej „jedynym" dzieckiem. Mnie chciała umieścić w domu dziecka. Pamiętam swoje przerażenie i napady histerii, kiedy, kopiąc w samochód, wielokrotnie broniłam się przed wepchnięciem mnie do środka. Byłam przerażona jej pomysłami, a posłanie mnie do domu dziecka traktowałam jako ostateczność, która jawiła mi się niczym piekło na ziemi.

Być może matka chciała, aby był dziewczynką, gdyż ubierała go zarówno w chłopięce, jak i w dziewczęce ubranka, a podczas spacerów woziła w wózku. Oboje byliśmy ładnymi dziećmi, z tym, że mój brat „zachowywał się normalnie", dzięki czemu nie był krępujący.

Jestem pewna, że ojcu nie podobało się zachowanie matki w stosunku do mnie i próbował nakłonić dziadków do przejęcia nade mną większej opieki. Możliwe jest również to, że dziadkowie starali się nawiązać ze mną o wiele bliższy kontakt od tego, jaki istniał między mną i matką. W każdym razie mój ojciec bardzo cierpiał z tego powodu, a jego stosunki z żoną również nie układały się najlepiej. W końcu matka zażądała, żeby ojciec się do mnie w ogóle nie odzywał i przestał mną zajmować. Kiedy moja matka mówiła, trząsł się cały pokój. Nie sposób było jej nie słuchać.

Nie ulega wątpliwości, że stosunek ojca do matki i starszego brata był tak samo chłodny i obojętny, jak jej stosunek do mnie. Moja rodzina była wewnętrznie rozbita, a złe stosunki pomiędzy rodzicami odbijały się na ich stosunku do dzieci.

Przypominało to reakcję łańcuchową. Kiedy napięcie było już nie do wytrzymania, ojciec wybuchał i rozładowywał się na matce, a ona z kolei rozładowywała się na mnie. Oboje wypracowali sobie takie formy rozwiązywania konfliktów, które trwały przez lata. To wszystko miało w sobie tyle destruktywnej siły, że przerastało wyobraźnię świata, w którym żyłam.

Nigdy nie przytuliłam się do żadnego z rodziców; zresztą oni też nigdy mnie do siebie nie przytulili. Nie lubiłam, kiedy ktoś podchodził zbyt blisko mnie, nie mówiąc już o dotykaniu. Dotyk kojarzył mi się z bólem, a tego bardzo się bałam.

Wprawdzie moja matka nie miała przyjaciół, na których chciałaby robić dobre wrażenie, to jednak przywiązywała dużą wagę do naszego wyglądu. Na przykład czesała moje włosy. Byłam blondynką o długich, kręconych włosach, które matka szczotkowała z prawdziwą zajadłością.

Ciotka Linda również uwielbiała czesać moje włosy, ale robiła to w sposób tak delikatny, że aż zaczynało mnie to irytować. „Nie boli?" – pytała, jak gdybym była jakąś kruchą lalką z porcelany. „Mocniej" – mówiłam. Szczotkowała moje włosy godzinami, starając się nie dotykać moich kokardek. Sprawiało mi to ogromną przyjemność. „Masz jasne włosy" – mówiła – „takie jedwabiste i tak ładnie się układają." Podobały mi się słowa, których używała, i zastanawiałam się, jak to jest, kiedy dotyka się włosów. Przez wiele lat bawiłam się moimi włosami, dotykając ich i smakując. Jedyny bliski kontakt, na jaki pozwalałam sobie wobec innych dzieci, polegał właśnie na dotykaniu ich włosów.

W moim łóżku jestem pełna włosów,
które z wysoka czuwają nade mną
jak niezawodni przyjaciele.

Ludzie zawsze powtarzali, że nie mam żadnych przyjaciół. Ale tak naprawdę, to miałam ich bardzo wielu. Byli o wiele bardziej magiczni, odpowiedzialni, wiarygodni, i prawdziwi niż inne dzieci, a poza tym ufałam im. To było w świecie, który sama sobie stworzyłam, w świecie, w którym nie musiałam kontrolować siebie,

przedmiotów, zwierząt ani przyrody. To wszystko po prostu istniało w mojej obecności. Miałam jeszcze dwóch innych przyjaciół, którzy nie należeli do fizycznego świata: kosmyki i parę zielonych oczu o imieniu – Willie, które schowały się pod moim łóżkiem.

Sen zawsze wzbudzał we mnie strach. Przez wiele lat spałam z otwartymi oczami. Przypuszczam, że nie wyglądałam na normalną. Raczej na „przerażoną" albo „przerażającą". Bałam się ciemności, choć z drugiej strony bardzo lubiłam wczesny zmierzch i świt.

Moje najwcześniejsze wspomnienia związane z kosmykami pochodzą z okresu, kiedy zaczęłam spać w łóżku. Było to już na pewno w naszym nowym domu, choć muszę przyznać, że obrazy starego i nowego domu mieszały się w mojej pamięci. Wyglądało to tak, jak gdybym widziała szereg pokoi, które właściwie nie pasują do nowego domu. Byłam tym zaniepokojona. Chciałam wiedzieć dokładnie, gdzie wszystko się znajduje, w tym również moi rodzice. Zanim poszłam spać, musiałam mieć pewność, że wszyscy w domu już śpią. Leżałam nieruchomo w łóżku, czekając, aż ucichną domowe odgłosy, i obserwowałam przezroczyste kosmyki, które unosiły się nade mną.

Wyglądały one jak malutkie, prawie przezroczyste istoty. Zawieszone w powietrzu dokładnie nade mną, sprawiały wrażenie kosmyków włosów; pewnie dlatego właśnie tak bardzo się nimi zainteresowałam.

Moje łóżko otoczone było, czy też raczej obrysowane niewielkimi punktami, które nazywałam gwiazdami. Nic więc dziwnego, że zdawało mi się, że leżę w mistycznej, szklanej trumnie. (Dowiedziałam się później, że punkty te to cząsteczki powietrza. Moje postrzeganie rzeczywistości było tak intensywne, że punkty te stawały się hipnotycznym pierwszym planem, a reszta świata rozpływała się gdzieś w tle.) Tylko wtedy, kiedy patrzyłam przez gwiazdy, a nie na gwiazdy, mogłam je zauważyć. Wierzyłam również, że jeśli zamknę oczy, moje gwiazdy opuszczą mnie i będę bezbronna wobec intruzów nachodzących mój pokój. Tak więc zapewnienie sobie bezpieczeństwa kosztowało mnie wiele wysiłku.

A nieproszeni goście niestety mnie odwiedzali. To patrząc na nich traciłam swoją ochronę, ponieważ przy zmianie pola widzenia malutkie punkty znikały, a wtedy czułam się zła i zdradzona, samotna, bezbronna i słaba.

Wiedziałam, że ludzie są zaniepokojeni tym, że śpię z otwartymi oczami. Dosyć szybko nauczyłam się je zamykać, kiedy słyszałam czyjeś kroki. Ludzie podchodzili do mnie i otwierali mi powieki, czasami nawet dotykając moich oczu, a ja udawałam wtedy martwą i starałam się na nic ani na nikogo nie patrzeć. Ponieważ oddychałam, to wiedzieli, że wszystko jest w porządku.

Kosmyki zniknęły z mojego życia w momencie, kiedy rozpoczęłam naukę w szkole, a gwiazdy (prawdopodobnie będące odpowiednikiem plam) jeszcze przez długi czas nachodziły mnie podczas snu. Czasami widzę je jeszcze teraz.

Willie to oddzielna historia. Historia, która zaczęła się mniej więcej w tym samym czasie, co kosmyki. Miałam chyba wtedy ze dwa lata. W przeciwieństwie do kosmyków, Willie nie przynosił mi żadnego ukojenia, choć stanowił pewnego rodzaju ochronę przed intruzami w nocy. Był po prostu parą przenikliwych, zielonych oczu widocznych w ciemności. Bałam się go, ale myślałam sobie również, że i moi intruzi się go boją. Tak więc bez względu na to, co mogło mi grozić z jego strony, postanowiłam z nim być. Jak zwykle w przypadku rzeczy, na których mi zależało, całkowicie się w nim zatraciłam. Zaczęłam spać pod łóżkiem i stałam się Williem.

W tym czasie miałam już trzy lata. Willie stał się postacią, którą kierowałam w stronę zewnętrznego świata. Miał przepełnione nienawiścią świecące oczy, wykrzywione usta, trupio sztywne ciało i zaciśnięte pięści. Willie tupał nogą, pluł na rzeczy, których nie lubił, ale najbardziej przerażająca w nim była nienawiść. To była cena, jaką Donna płaciła za bycie Williem. Jego imię pochodziło zapewne od mojego nazwiska, a niektóre z jego zachowań ukształtowane zostały pod wpływem mego prześladowcy, to znaczy mojej matki.

Willie nauczył się przekształcać wypowiedzi swoich rozmówców w sensowne, ale jednocześnie agresywne zdania, choć nadal jeszcze milczenie zdawało się być jego najgroźniejszą bronią. Moja matka nabierała coraz większego przekonania, że jestem zła i opętana. Znacznie łatwiej byłoby to jej wybaczyć, gdyby cierpiała na jakąś chorobę umysłową. Ale poglądy mojej matki dotyczące mego stanu zostały w dużej mierze ukształtowane przez jej poczucie osamotnienia, pociąg do kieliszka, a także brak wykształcenia i należytego wychowania.

Moja matka również zamknęła się w swoim własnym świecie, choć, w przeciwieństwie do mnie, nie czuła się tam wcale bezpiecznie. Jej jedynym ratunkiem i przyjacielem był mój brat. Moje kontakty z nim przypominały wojnę, w której ja walczyłam samotnie. Tymczasem oni trzymali się razem i razem mnie atakowali.

Traktowali mnie jak umysłowo chorą, niedorozwiniętą, zbzikowaną. Zachowywałam się „jak wariatka" i nie umiałam postępować normalnie. „Zobacz, co ona wyprawia, zobacz, co ona wyprawia" – mówili tak o dziecku, które uważali za „niedorozwinięte", kiedy uciekało w swój własny świat, albo za „szalone", kiedy było w ich świecie. Nie mogłam z nimi wygrać.

Ale patrząc na to wszystko z ich punktu widzenia, dochodzę do wniosku, że oni także nie mogli wygrać. Mój brat rozumiał zapewne, że właściwie nie istniał dla mnie. Moja matka zaś już na długo przed moim urodzeniem nie cieszyła się swoim życiem, uważając, że nie jest ono takie, jak to sobie wymarzyła. Przyjęła rolę samot-

nej i cierpiącej matki. Mój brat był jej oczkiem w głowie. Im więcej jednak zarzutów kierowali oboje pod moim adresem, tym bardziej narażali się na zarzuty ze strony innych ludzi.

Ludzie mówili, że to z powodu jej chłodu i gwałtowności jestem taka zamknięta w sobie. Prawdopodobnie ona sama wierzyła w to, a ja nie wyprowadzałam jej z błędu. Myślę, że nawet gdybym kiedykolwiek chciała zbliżyć się do niej taką, jaką byłam naprawdę, moja matka nie pozwoliłaby na to. Niektóre spośród maltretowanych dzieci przywiązują się do takich rodziców. Ja nigdy tego nie zrobiłam.

Jeśli rzeczywiście chciałam wojny z matką, to myślę, że ja w pewnym sensie wygrałam. Choć jest prawdą, że matka już na długo przed moim urodzeniem nie potrafiła sobie radzić w kontaktach z ludźmi, to jednak moja osoba jeszcze bardziej jej to utrudniła. Na pewno jestem w jakimś stopniu odpowiedzialna za to, że jej stosunki z moim bratem były nieco patologiczne, co w konsekwencji spowodowało, że mój brat wyrzekł się jej wiele lat później.

Rodzice musieli mieć jakąś wizję mojej przyszłości już wtedy, kiedy każde z nich walczyło o co innego, tzn. matka o umieszczenie mnie w jakimś zakładzie, a ojciec o zatrzymanie mnie w domu. Dla każdego z nich znaczyłam co innego. Ojciec traktował mnie jak dar losu. Dla matki zaś byłam piekłem na ziemi. Nazywała mnie jednak Lala; uważała, że jestem dla niej lalką, której nigdy nie miała. Pamiętam, że często powtarzała te słowa – „Byłaś moją lalką, którą wolno mi było bić." Tak więc dla niej stanowiłam również pewnego rodzaju dar. Byłam lalką, która potrafi tańczyć.

❦

Kiedy miałam trzy lata, matka zabrała mnie na pierwszą lekcję tańca. Chodziłam na palcach, uwielbiałam muzykę klasyczną i sama sobie wymyślałam tańce, co uznano za przejaw talentu baletowego. Bardzo podobały mi się wytworne rzeczy i cieszyłam się, kiedy miałam założyć wstążki, siatkę na włosy lub cekiny. Wtedy, kiedy je nosiłam, stawały się częścią mnie. Traktowałam je oczywiście zupełnie inaczej, kiedy przechodziły w ręce innych ludzi.

Pamiętam silny wiatr wyjący na zewnątrz sali, w której miałam wystąpić publicznie po raz pierwszy i ostatni zarazem. Pamiętam brudną ścieżkę z przydeptaną pośrodku trawą. Był to zapewne wjazd dla samochodów, ale ja tak właśnie widziałam rzeczy: po kawałku, jak paciorki naszyjnika.

Przeszliśmy jeszcze kilka kroków aż do podwójnych, drewnianych drzwi. Byłam onieśmielona pokojem, który zobaczyłam, jego drewnianym wystrojem i gładkością podłóg. Moja matka w tym momencie myślała zapewne o tym, że kiedy była w moim wieku, marzyła o butach, które ja miałam teraz bez problemu.

Moja matka była drugim spośród dziewięciorga dzieci i drugą z kolei córką. Pochodziła z biednej rodziny, w której prawdopodobnie najstarsza córka była zawsze faworyzowana.

Młodsze dzieci korzystały z pomocy instytucji charytatywnych, gdy tymczasem najstarsza córka dostawała od rodziców lalki, ładne ubrania, i wysyłano ją na lekcje tańca. Stosunek matki do starszej siostry pełen był nienawiści i strachu. Nie próbowała nawet z nią współzawodniczyć, przyjmując rolę najstarszego syna, który w takiej sytuacji musiał oczywiście zwyciężyć. Zachowanie mojej matki, pozbawione wszelkiego uroku i wdzięku, świadczyło o jej niewielkim poczuciu własnej wartości. Jednak satysfakcja, jaką czerpała, prawiąc złośliwości swojej starszej siostrze i swoim ewentualnym przyjaciółkom, stanowiła dla niej wystarczającą rekompensatę.

Najstarsza córka zaś traktowała całą tę sytuację z pewnym zadowoleniem, stając się coraz bardziej charyzmatyczna i pewna siebie. A kiedy moja matka, pełna wstydu i poczucia winy, zwróciła się do niej z prośbą o wybaczenie, ta nie okazała jej nawet odrobiny wyrozumiałości, podobnie zresztą, jak nigdy nie dostała jej ode mnie.

Zdawało mi się, że sala koncertowa jest pełna dzieci. Ubrane w czarne kostiumy Szkoły Tanecznej Willoughby wymachiwały różowymi kończynami. Na dźwięk głosu instruktora, zgiełk panujący na sali stopniowo zamierał.

Dzieci zaczęły formować olbrzymi kwadrat. „Patrzymy przed siebie." „Uwaga, musisz przejść w lewo." „Nie w prawo, tylko w lewo." „Poczekaj, zatrzymaj się na chwilę i postój tutaj". Poczułam, jak czyjeś ręce stanowczym gestem gdzieś mnie kierują, przejmując nade mną kontrolę. Przyglądałam się moim stopom. Czułam, że ściany się unoszą.

Nie słyszałam już muzyki. Zgiełk wokół mnie wkradł się w każdą część mego ciała. Zaciskając pięści, zaczęłam tupać i pluć. „Proszę ją stąd wyprowadzić, pani Williams." – powiedział nauczyciel, pan Willoughby. „Myślę, że jeszcze do tego nie dorosła. Ale kto wie, może za kilka lat?"

Marzenia i nadzieje mojej matki rozpadały się w proch. Patrzyłam na podłogę. Poczułam silne targnięcie za ramię. Spojrzałam w górę. Matka odezwała się do mnie złowieszczym tonem. „Dosyć tego. Idziemy do domu."

Dostałam ataku histerii i zdaje się, że nawet zwymiotowałam w samochodzie. Tak więc Willie nie został baleriną.

Matka przestała dopatrywać się we mnie swoich cech i zaczęła mnie traktować jak swoją rozpieszczoną siostrę.

Dziewczyna z lustra spogląda na mnie.
Pewnie ma mnie za szaloną, bo wierzę w swoją wolność.
Wpatrując się w nią mocno, zaczynam dostrzegać, że
stara się zrozumieć prawdziwość moich racji.
A ja chcę tylko odnaleźć do siebie drogę.

❦

Droga do parku na końcu naszej ulicy porośnięta była różami. Każdy dom znajdujący się przy tej drodze miał swoją specjalną nazwę. Ostatni z nich nazywał się „Domem Róż".

Wychodziłam na dwór o świcie, udając się na poszukiwania. Obserwowałam ryby w stawie pana Smitha, patrzyłam przez szklane drzwi różanego domu, tańczyłam w ogrodzie, śpiewając piosenki lub recytując wymyślone przez siebie wiersze. Rzucałam wysoko w górę płatki róż, które spadały na mnie niczym gwiazdy wokół mego łóżka. Wyglądałam pewnie wtedy jak aniołek, choć tak naprawdę więcej było we mnie z diabła, z którym próbowałam się zbratać. Różana pani nigdy nie zganiła mnie za zniszczone róże. Komuś tylko nie podobał się mój śpiew. Przestałam wtedy śpiewać w towarzystwie ludzi, choć minęło wiele lat, zanim zrozumiałam, że oni słyszą mnie nawet wtedy, kiedy ich nie widzę.

❦

Park był magicznym miejscem. Leżałam na środku huśtawki, poruszając się w dół i w górę. Bardzo śmieszyło mnie, kiedy bujając się na niej, widziałam, jak podwórko mojej sąsiadki – Liny raz pojawia się, raz znika. Czasami Lina wychodziła z domu, żeby popatrzeć, jak się bawię. Przychodziła do parku albo zapraszała mnie do siebie. Śmiałam się i bujałam coraz wyżej i wyżej. Widzisz, kiedy jestem tak wysoko, nikt mnie nie może dotknąć.

Lina rozmawiała ze swoją matką tylko po włosku. Lubiłam ich słuchać. Miały miły głos. Nawet, kiedy był rozkazujący, nie brzmiał ostro.

Bardzo podobał mi się zapach ich domu; było tam mnóstwo interesujących rzeczy, również takich, przez które mogłam patrzeć. Lśniące, prążkowane szafki z drzewa tekowego mieściły w sobie kryształowe kieliszki poustawiane na szklanych półkach, niczym na scenie w teatrze. Wydawało się, że z podłogi, gładkiej i świecącej jak jedwab, można było jeść. Miało się ochotę wszystkiego dotknąć. Ocierałam się policzkiem o zasłony, kredensy, narzuty i szklane drzwi.

Matka Liny uważała, że jestem piękna, i częstowała mnie kałamarnicą. Smakowało mi to, ponieważ lubiłam matkę Liny. Kiedy się śmiała, jej oczy nabierały blasku i całe ciało zdawało się pękać ze śmiechu.

Lubiłam Linę. Miała starszego, brutalnego brata. Wiedziałam, co to znaczy.

Matka Liny zapytała, co stało się z jej kwiatkami doniczkowymi. Były pourywane. Odwróciłam głowę, żeby powstrzymać się od śmiechu. „Czy ty to zrobiłaś?" – zdawała się mówić Lina. Moje oczy głęboko w nią wpatrzone wszystko jej powiedziały.

❦

Moje ulubione drzewo żyło w parku. Wdrapywałam się na nie i dosięgając najwyższej gałęzi, jaką mogłam znaleźć, zwieszałam się na niej nogami i bujałam. Śpiewałam sobie wtedy albo mruczałam. Byłam zadowolona, kołysząc się w rytm moich piosenek.

Zdarzało mi się rozbujać wysoko i puścić się gałęzi. Mój lot kończył się wtedy głuchym uderzeniem o ziemię. Taki upadek sprawiał czasami, że brakowało mi tchu. Często też byłam podrapana. Ale nie robiło to na mnie wielkiego wrażenia. Podnosiłam się z ziemi i z powrotem zaczynałam się bawić. Mój świat był bardzo bogaty, ale, podobnie jak bogaci ludzie, byłam bardzo samotna.

Pewnego dnia jak zwykle bujałam się na drzewie. W pewnym momencie podeszła do mnie dziewczynka i zaczęła coś mówić. Nazywała się Carol. Pewnie wydałam jej się trochę dziwna, ponieważ ubrana byłam tylko w koszulę nocną, która podczas bujania zawijała mi się na głowę, odsłaniając resztę mojego ciała. Jeszcze bardziej musiała ją zaskoczyć moja twarz, którą umalowałam kosmetykami mamy. Uważałam, że wyglądam wspaniale. W rzeczywistości przypominałam pewnie strach na wróble.

Trwałam tak przy tej ogromnej dziewczynie. Fascynowało mnie, że jest tak ożywiona, chociaż niewiele rozumiałam z tego, co mówi. Słyszałam tylko jej słowa. Możliwe, że powtarzałam je sobie w myśli. Jedyne, co miało dla mnie znaczenie, to zachowanie tej dziewczyny, które było tak nowe, że przełamało moją obojętność w stosunku do niej.

❦

Poszłyśmy do domu Carol. Jej matka była przerażona wyglądem mojej twarzy. Z kolei ja byłam przerażona jej reakcją. Uważałam, że moja twarz wygląda wspaniale. Carol i jej matka śmiały się ze mnie. Ludzie często to robili w mojej obecności, za wyjątkiem mojej matki.

Później mówili, że to nie ze mnie, ale ze mną się śmieją, tylko że mi wcale nie było do śmiechu. Tak więc zaczęłam naśladować ich zachowanie i robiłam dokładnie to, co oni. Śmiali się z mojego dziwacznego śmiechu, a ja śmiałam się razem z nimi. Dzięki temu myśleli, że jestem rozbawiona i pocieszna. Ta moja umiejętność przydawała mi się, kiedy byłam starsza. Okazywała się pomocna w wielu sytuacjach. Uczyłam się grać różne role.

Matka Carol przyniosła ręcznik i zaczęła wycierać moją twarz, ręce i nogi. Czułam się jak zupełnie nowy człowiek. Postawiła przede mną szklankę z jakimś napojem.

Spojrzałam na nią oczekując jakiejś komendy. „Napij się" – usłyszałam. Brzmiało to jak stwierdzenie rozbite na pojedyncze wyrazy. Spojrzałam najpierw na szklankę, później na matkę, a w końcu na dziewczynę. Ta ostatnia siedziała po drugiej stronie stołu; podniosła szklankę do ust i wypiła jej zawartość. Zrobiłam dokładnie to samo, co ona.

„Gdzie ona mieszka?" – usłyszałam głos.

„Nie wiem. Znalazłam ją w parku." – powiedział inny głos.

„Myślę, że powinnaś ja tam z powrotem zaprowadzić."

Ogarnął mnie potworny strach. Przestałam tam być. Wyłączyłam się.

Carol wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do parku. Moje oczy z dokładnością kamery zarejestrowały ten moment. Carol żyła w swoim domu w innym od mojego świecie. Tak bardzo chciałam stać się jego częścią. Wpatrywałam się w nią i czułam się zdradzona. Ten świat odrzucał mnie.

Wtedy zrozumiałam, co to znaczy wybór. Chciałam żyć w świecie, do którego należała Carol, w jej domu. „Gdzie mieszkasz?" – słyszałam jej głos, kiedy postać Carol z wolna wymykała się z mojego świata. Wpatrywałam się w nią czując, jak w środku wydobywa się ze mnie pełen rozpaczy płacz. Jednak nie wydobyłam z siebie żadnego dźwięku. Obserwowałam, jak osoba o imieniu Carol macha mi na pożegnanie i wypowiada jakieś słowa. Przez kilka następnych lat zastanawiałam się, czy Carol w ogóle istniała, ponieważ żadna z poznanych wcześniej osób nie potrafiła aż tak bardzo skoncentrować mojej uwagi na „świecie". Ta zupełnie obca osoba, tylko raz przeze mnie spotkana, odmieniła moje życie. Stała się „dziewczyną z lustra". Później to ja stałam się Carol.

Kiedy byłam starsza, kompulsywnie przynosiłam do domu młode koty, odtwarzając sposób, w jaki Carol przyprowadziła mnie do siebie. Zastanawiałam się wtedy, kiedy moja matka przeistoczy się w matkę Carol. Ale to nie nastąpiło nigdy.

❦

W końcu straciłam nadzieję, że Carol znowu przyjdzie do parku. Nie chciałam już bujać się na moim drzewie. Było to zbyt bolesne. Całe dnie spędzałam na wpatrywaniu się w lustro.

W mojej sypialni znajdowało się długie lustro. Widać w nim również było drzwi do sypialni mojego brata. Mój brat nigdy przez nie nie przechodził. Musiał więc spać w innym pomieszczeniu albo używał drzwi wychodzących na tylny ganek. Jestem bowiem pewna, że gdybym zobaczyła go w lustrze, krzyknęłabym. Mój pokój był moim światem; tylko osobę matki, wprawdzie również niechcianej i nie zapraszanej, byłam w stanie tolerować.

W ciągu dnia drzwi musiały być zamknięte. Z kolei w nocy chciałam, żeby były otwarte, ponieważ mogłam wtedy obserwować, czy ktoś nie wchodzi. Carol weszła przez moje lustro.

N 04805

Wyglądała tak samo jak ja, ale zdradziło ją spojrzenie. Była to po prostu Carol. Zaczęłam do niej mówić, a ona wszystko po mnie powtarzała. Złościło mnie to. Nie byłam przygotowana na taką reakcję. Wyraz mojej twarzy zdawał się pytać „dlaczego?", po czym takie samo pytanie „zobaczyłam" u niej. Domyśliłam się, że odpowiedź jest tajemnicą.

Doszłam do wniosku, że Carol nie chciała, żeby ktokolwiek widział, jak ze mną rozmawia, i że w ten sposób chciała mnie obronić. Zaczęłam do niej szeptać, przysuwając się bardzo blisko do jej twarzy, i zastanawiałam się, dlaczego się nie odwraca, żeby mnie wysłuchać.

Kiedy nie stałam przed lustrem, Carol znikała. Czułam się wtedy opuszczona. Kiedy znalazłam się przed lustrem, Carol znowu się pojawiała, a wtedy ja sprawdzałam za lustrem, czy Carol nie wyszła przypadkiem przez drzwi, które widziałam w głębi. To nie były drzwi do pokoju mojego brata. Były to drzwi do domu Carol! Pokój, w którym zobaczyłam ją w lustrze, oddzielał jej świat od mojego.

Teraz zrozumiałam wreszcie całą tę tajemnicę. Gdybym potrafiła przejść przez ten pokój, mogłabym przejść z Carol do jej świata. Problem polegał na tym, że nie bardzo wiedziałam, jak wejść do lustra.

Doszłam do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli będę szła wprost na lustro. Próbowałam to robić przez kolejne cztery lata. Kierowałam się wprost na lustro, a później zastanawiałam się, dlaczego nie mogę się do niego dostać.

Lęk wynikający mojej wewnętrznej walki stawał się nie do wytrzymania. Mogłam wypowiadać słowa, ale teraz chciałam się także porozumiewać. Chciałam coś wyrazić. Chciałam coś z siebie dać. W ten sposób łatwo można by było pozbyć się tego lęku. Dzięki temu znów straciłabym świadomość siebie samej i mojego otoczenia.

Płakałam, patrząc rozpaczliwie w oczy Carol w nadziei odnalezienia wyjścia z mojego umysłowego więzienia. Żal, jaki mnie ogarnął, sprawił, że zaczęłam się okaleczać – biłam się po twarzy, gryzłam, wyrywałam sobie włosy. Nie było to nowe przeżycie dla mojego ciała, ponieważ matka przyzwyczaiła mnie do podobnych aktów przemocy.

Coraz większym problemem stawali się ludzie, którzy blisko do mnie podchodzili. Wzdrygałam się na ich widok i uciekałam. Ojciec winił za to matkę. Matka twierdziła z kolei, że wszystkiemu winne jest moje zachowanie. Mój starszy brat, coraz bardziej mną znużony, nazywał mnie wariatką. Odpowiadałam mu tym samym. W końcu w ogóle przestałam się odzywać.

Uwierzyłam, że ostateczną przeszkodą w dotarciu do świata Carol jest opór, jaki czułam na chwilę przed uderzeniem w lustro. Teraz, patrząc na to z perspektywy czasu, widzę, ile w tym było prawdy. Musiał być we mnie jakiś wewnętrzny opór, który uniemożliwiał mi dotarcie do świata jako takiego.

Zwinięta w kulkę siadałam w szafce kuchennej. Zamykałam oczy, starając się z całej siły stracić poczucie własnego istnienia i wejść do świata Carol. Złościło mnie, kiedy musiałam iść do toalety, jeść lub przebywać z rodziną (głównie wtedy, kiedy proszono mnie o podanie jakichś rzeczy). Krótko mówiąc, moje człowieczeństwo, moje fizyczne trwanie bardzo mi zawadzało.

W ciemnościach kuchennej szafki odkryłam w sobie Carol.

Carol była uwielbiana przez ludzi. Często się śmiała. Łatwo się zaprzyjaźniała. Przynosiła do domu rzeczy. Miała matkę.

Na szczęście dla mojej matki, Carol zachowywała się w miarę normalnie. Uśmiechnięta, przyjacielska, rozbawiona, wyglądała, jak tańcząca laleczka. Mogła więc sprawdzić się przepowiednia pana Willoughby, który powiedział „Niech pani ją przyprowadzi za kilka lat. Wtedy do tego dojrzeje."

W międzyczasie zniknęła Donna.

Miałam wtedy pięć lat.

Nie znosiłam nazywać ani siebie ani ludzi po imieniu. Nigdy im nie powiedziałam, że miałam na imię Carol, ani tego, że oni odgrywali postacie, które ona spotykała. Strach przed wyjawieniem tego sekretu wiązał się z obawą przed utraceniem kontroli nad światem Carol. Tylko dzięki temu światu mogłam uwolnić się z mojego wewnętrznego więzienia. Stworzyłam ego oddzielone ode mnie samej, które ciągle jeszcze było w okowach okaleczonych uczuć. To było coś więcej niż sam akt. To było moje życie. Tak samo, jak musiałam wyrzec się całej świadomości mego emocjonalnego ja, tak samo musiałam wyrzec się Donny. W końcu zgubiłam Donnę i znalazłam się w nowej pułapce. Carol walczyła o rzecz nieosiągalną – uznanie przez innych ludzi. I dążąc do tego, znalazła się w centrum uwagi, jak na scenie. Willie – moja druga twarz znana światu, uosobienie całkowitej samokontroli, siedział nieruchomo na widowni. Donna ciągle jeszcze znajdowała się w szafce kuchennej. Kiedy w wieku dwudziestu dwóch lat na nowo siebie poszukiwałam, ponownie weszłam do kuchennej szafki i zamknęłam za sobą drzwi.

Gdy tylko czas zaczął istnieć, wpatrywała się w nicość.
Stojąc tam i zarazem nie stojąc.
W świecie pełnym marzeń, cieni i fantazji.
Nic bardziej złożonego niż kolor i nieuchwytny dźwięk.
Z obliczem anioła oczywiście.
Jednak bez władzy kochania ani czucia.
Za wyjątkiem futra kota.
Zbliżonego do policzka.

Zanim pojawiła się Carol, wysłano mnie do szkoły specjalnej.

Miałam trzy lata. Nosiłam wymuskany i schludny mundurek szkolny – niebieską sukienkę w kratkę, granatową bluzę, zawsze zapiętą na ostatni guzik.

Bardzo podobały mi się ciężkie, dębowe drzwi kościelnej szkoły, wypolerowane podłogi, malowane szyby hen, wysoko. Uwielbiałam tamtejszy zapach i drzewa rosnące na placu zabaw. Lubiłam bułki z kremem, które jedliśmy w czasie przerw i moją metalową odznakę przyszytą do bluzy. Mam ją jeszcze dziś, dwadzieścia trzy lata później. Wyciągam ją z którejś z wielu puszek, gdzie przechowuję moje skarby i obraz szkoły pojawia się na nowo, zupełnie, jakbym dopiero wczoraj w niej była. Te skarby były kluczem do zrozumienia mnie samej i strzegłam ich jak oka w głowie.

Chodziłam do prywatnej szkoły, która słynęła z indywidualnego podejścia do uczniów i przyjmowała również „trudne dzieci". Większość dzieci była starsza ode mnie. Były spokojne i mniej napastliwe niż większość ich rówieśników.

Uważano mnie za mądrą dziewczynkę, chociaż często nie rozumiałam, co się do mnie mówi. Byłam wprawdzie inteligentna, ale mało przytomna. Zamiast rozmawiać z innymi, ograniczałam się tylko do naśladowania ich, i przekrzykując wszystkich, mówiłam bez końca, wierząc, że tak wygląda właściwa rozmowa.

Zajęcia w szkole sprawiały mi przyjemność. Nauczyciel zabierał nas do kościoła, gdzie na podłodze rozkładano ogromny arkusz papieru. Z mojej lewej i prawej strony znajdowały się dzieci, ale nie zwracałam na nie uwagi.

Każde z nas miało w ręku ołówek. Rysowałam nim, aż w pewnym momencie podnosiłam wzrok w górę, żeby zobaczyć twarz osoby, której ręka kreśliła coś na moim rysunku. Nauczyciel starał się odgadnąć, co miały przedstawiać nasze ogromne, nagryzmolone rysunki.

Czasami, kiedy interesowało mnie, co robią inne dzieci, dawano mi jakieś skrawki, żebym sama coś namalowała. Ale nie podobało mi się to. Nie miałam nic przeciwko bazgraniu, ale nienawidziłam rysowania ludzi i im podobnych rzeczy. Oddawałam się rysowaniu miniaturowego świata, w którym pełno było kolorowych rzeczy i puchu. Lubiłam rysować rzeczy, na które mogłabym się wspinać, lub pod które mogłabym wchodzić, gdyby udało mi się dostać do mojego rysunku. Przysuwałam twarz bardzo blisko mojego arcydzieła, wpatrując się raczej w nie, niż na nie, zupełnie jak kot obserwujący mysią norę.

Nigdy nie lubiłam siedzieć na krześle. Kiedy moje nogi swobodnie wisiały, nie mogłam usiedzieć na miejscu. Musiałam czuć pod stopami ziemię. A było jeszcze lepiej, kiedy dotykałam jej innymi częściami ciała. Pewnego dnia usiadłam na krześle obok dużej dziewczynki, która sklejała ludzką postać z tektury i papieru. Zaintrygowały mnie jej włosy, spięte z tyłu w długi warkocz. Przesunęłam po nim ręką. Dziewczynka odwróciła się i spojrzała na mnie. Byłam wystraszona, kiedy zobaczyłam, że jej twarz jest połączona z włosami. Chciałam tylko dotknąć jej włosów, nie twarzy. Powiedziała mi, że ma na imię Elizabeth. Pamiętam, że wtedy po raz pierwszy w życiu wyciągnęłam rękę, żeby kogoś delikatnie dotknąć.

Matka odbierała mnie ze szkoły. Zawsze machałam budynkowi na pożegnanie. Pewnego razu pożegnałam go na zawsze. Dowiedziałam się, że dziewczynka z porażeniem mózgowym uderzyła mnie kamieniem w głowę. Być może tak rzeczywiście

było. Na rzeczy, które mnie w żaden sposób nie intrygowały i nie przeszkadzały mi, nie zwracałam najmniejszej uwagi. Cały ten incydent nie zranił ani moich, uczuć, ani ciała.

W chwili, kiedy opuściłam szkołę specjalną, stałam się Carol. Carol rozmawiała z ludźmi. A ja nauczyłam się do nich odzywać. Ludzie myśleli zapewne, że stało się to za sprawą szkoły. I pewnie tak było. W każdym bądź razie nie przytrafiło mi się tam nic złego.

Naukę w szkole normalnej rozpoczęłam w tym samym czasie, co zajęcia z baletu. Skrupulatnie wykonywałam polecenia innych ludzi. Podobało im się to i lubili Carol. Miałam niezwykle giętkie ciało i dokonywałam z nim sztuczek, które rozśmieszały i fascynowały ludzi, a moją matkę wprawiały w zachwyt.

Moja matka prześcignęła wreszcie swoją starszą siostrę. Miała tańczącą laleczkę, a jej siostra tylko chłopców. Matka wykręcała, ciągnęła i prawie wyłamywała mi nogi, pomagając mi w zrobieniu szpagatu lub w wychyleniu się w tył. Kiedy leżałam na ziemi, mój brat ochoczo przytrzymywał moją nogę, a następnie razem z matką wykręcał resztę moich kończyn niczym wskazówki zegara. Jeśli zaczynali się śmiać, Carol śmiała się razem z nimi. Wydawało im się na pewno, że świetnie się bawię. Mieli nie tylko tańczącą lalkę, ale i cyrkowego akrobatę. Cóż za talent, cóż za zdolności, cóż za konkurencja! Stałam się nagradzaną maskotką. Małą, tańczącą laleczką. Kiedy miałam jedenaście lat, musiałam brać proszki przeciwbólowe ze względu na reumatyzm, który zaatakował moje stawy. Żeby pozbyć się bólu, zaciskałam zęby i zadawałam sobie ciosy. Czułam, jakby moje kości zgrzytały o siebie. Przez wiele lat jeszcze musiałam zażywać środki przeciwbólowe. Tańczyłam tylko do siódmego roku życia, ale i tak nigdy nie nauczyłam się, gdzie jest prawa, a gdzie lewa strona.

W nowej szkole zaczęłam mówić o sobie, że jestem szalona. Poszukując swojej tożsamości, już w wieku dwudziestu dwóch lat wróciłam do domu, w którym wzrastałam. Kobieta, która tam mieszkała, pokazała mi odkryty przez siebie napis na chacie mego dziadka. Pamiętam, kiedy go pisałam. Było to po śmierci dziadka. Miałam wtedy sześć lat. Napis brzmiał – „Donna jest wariatką." To dziwne, ale potrzebowałam czterech lat, żeby sobie uświadomić, że dzieci, mówiąc o sobie, używają zaimka pierwszej osoby – „ja".

To, czy inne dzieci uważały się za moich przyjaciół, było bez znaczenia. Moją pierwszą, szkolną przyjaciółką była Sandra. Miała ciemnie, świecące włosy; lubiłam jej roześmianą twarz. Była dużą, wesołą dziewczyną. Inne dzieci dokuczały jej. Stała się dla mnie, jak by to sama określiła, „najlepszą kumpelką".

Inne dzieci bawiły się w szkołę, tatę i mamę, lekarza i pielęgniarkę. Skakały przez skakankę, grały w piłkę albo wymieniały się kartami. Ja również miałam swoje karty. Oddałam je innym dzieciom, żeby się z nimi zaprzyjaźnić, po czym dowiedziałam się, że tych kart się nie oddaje, tylko wymienia na inne.

My z Sandrą zawsze bawiłyśmy się w tę samą grę. I śmiałyśmy się bardzo, bardzo długo. Siadałyśmy obok siebie i krzyczałyśmy sobie coś do ucha. Śmiałam się, ponieważ to mnie łaskotało; w gruncie rzeczy nieważne było, co Sandra wykrzykuje. Była pierwszą osobą, która się w moją grę bawiła.

Podczas zabaw i lunchu piłyśmy z Sandrą tak dużo wody, że miałyśmy wrażenie, że za chwilę pękniemy. Zaczynałyśmy się wtedy dusić. Nasze twarze stawały się niebieskie, po czym, z ledwością łapiąc oddech, dostawałyśmy ataku kaszlu. Wpychałyśmy sobie do środka oczy, żeby lepiej widzieć kolory, i krzyczałyśmy aż do bólu gardła.

Uważałam to za świetną zabawę. Odkryłam wtedy, że potrafię dzielić się fizycznymi doznaniami. W towarzystwie innych osób moje zmysły nie działały i stawałam się tak bardzo nieczuła, że dopiero sytuacje ekstremalne pobudzały je do reakcji.

Sandra znalazła sobie wtedy inną przyjaciółkę. Mówiłam na nią gruba, a ona na mnie wariatka. Obie z Sandrą chciały, żebyśmy bawiły się we trójkę. Nie wiedziałam, co się robi z dwiema przyjaciółkami naraz. Dlatego postanowiłam, że nie zaprzyjaźnię się z żadną z nich.

Często bawiłam się sama. Wchodziłam na drabinki, oglądałam moje karty, wspinałam się na drzewa, rozrywałam kwiatki, kręciłam się w kółko, wpatrując się w słońce. Kładłam się na ziemi i obserwowałam, jak świat wiruje. Bardzo kochałam życie, ale wciąż czułam się potwornie samotna.

Podobałam się innym dzieciom. Patrzyły na mnie z zachwytem; chodziły po drabinkach, na których się bujałam, zwieszały się z gałęzi dziesięć metrów nad ziemią. Krótko mówiąc, robiły „szalone" rzeczy.

Mój brat chodził do tej samej szkoły, lecz w ogóle się mną nie zajmował. Kiedyś był wobec mnie opiekuńczy, ale to się skończyło, kiedy uznał mnie za pomyloną, chorą, za kogoś przynoszącego wstyd. Nie mam mu tego za złe. Ja żyłam w swoim świecie, a on w swoim.

Dla mnie lekcje wydawały się przedłużeniem zabawy, a zabawa przedłużeniem lekcji. Nauczyciel dosyć szybko zauważył, że nie można wypuszczać mnie samej do łazienki, ponieważ często mi się zdarzało, że się gdzieś zawieruszałam.

Chodziłam sobie na plac zabaw, gdzie bardzo miło spędzałam czas. Wydawało mi się całkiem naturalne, że jeśli czegoś nie lubię, to po prostu tego nie robię. Teraz, patrząc na to z perspektywy czasu, mogę sobie wyobrazić zdziwienie nauczyciela, którego wywoływano z klasy, ponieważ jedna z uczennic, wisząc na gałęzi najwyższego drzewa w szkole, śpiewała „Na szczycie świata".

Pewnego razu, kiedy tak wisiałam, zebrała się pod drzewem cała szkoła. Wszyscy na mnie krzyczeli. Ale ja śpiewałam coraz głośniej i coraz wyżej się bujałam. Aż na-

gle przeraziłam się ich krzyku. Zaczęłam ostrożnie schodzić. Do dziś nie wiem, czy powodem tego były ekscesy na drzewie, czy też obawa, że ktoś po mnie przyjdzie i mnie stamtąd ściągnie. Nauczyciel dodawał mi otuchy i zapewniał, że wszystko będzie w porządku. W końcu zeszłam na ziemię. W moich snach ten dzień powtarzał się wielokrotnie jako dzień klęski.

❦

Po tygodniu pobytu w szkole podstawowej przeniesiono mnie razem z czworgiem innych dzieci do specjalnej klasy zwanej „Klasą dla dzieci zaniedbanych środowiskowo". Siedzieliśmy w niej przez kolejne trzy lata, nie zmieniając ani nauczycieli, ani kolegów. Moja nauczycielka była ostrą kobietą, w czym przypominała moją matkę. Podobnie jak ona, miała niezwykłe dziecko.

Dzieci z tej klasy były traktowane w szczególny sposób. Co jakiś czas wysyłano nas do psychiatry lub psychologa. Niewiele z tego pamiętam. Właściwie tylko pokój; to, co się tam odbywało, niewiele mnie obchodziło.

❦

W szkole szło mi zupełnie nieźle. Bardzo polubiłam litery i szybko się ich uczyłam. Fascynował mnie sposób, w jaki tworzy się z nich wyrazy; one również łatwo „wchodziły" mi do głowy.

Bardzo dobrze czytałam, ale zawsze musiałam słuchać swego głosu. Kiedy zagłębiałam się w jakiś tekst, widziałam obrazy, dzięki którym rozumiałam go. Czytając na głos, wcale nie przejmowałam się tym, że niepoprawnie wymawiam niektóre dźwięki, albo wymyślam własne słowa. Zmieniałam intonację, żeby to, co czytam, wydawało się bardziej interesujące. Ponieważ jednak bardzo często eksperymentowałam z własnym głosem, podejrzewam, że moja intonacja w ogóle nie pasowała do treści.

Byłam dość dobra z ortografii. Ponieważ potrafiłam wymówić i zapamiętać trudne słowa, uważano mnie za mądre dziecko. Pisałam za to bardzo niestarannie i mimo wysiłków pozostawałam zawsze w tyle za innymi uczniami.

Jeśli zaś chodzi o matematykę, to myślę, że szłoby mi znacznie lepiej, gdybym dostała od nauczyciela cyfry zamiast kolorowych patyczków. Patyczki o różnej długości i w różnych kolorach przedstawiały poszczególne cyfry. Ja jednak traktowałam je jak klocki. Budowałam z nich wieże aż do momentu, kiedy najmniejszy z klocków mogłam umieścić na szczycie. Wtedy wszystko burzyłam i zaczynałam pracę od początku.

Potrafiłam wprawdzie dodawać i odejmować, ale nie rozumiałam ułamków. Pojęcie połowy i ćwiartki było mi zupełnie obce. Zrozumiałam je wreszcie, posługując się pojęciem odejmowania. Być może trudno mi było objąć pewne skomplikowane rzeczy, ale na pewno szczerze się o to starałam.

Jeśli zaś chodzi o aktywność podczas zajęć, to tej nigdy mi nie brakowało, choć pewnie przejawiałam ją w nieodpowiedni sposób. Bezustannie mówiłam do siebie, irytując tym wszystkich wokół. Ludzie mówili, że bardzo lubię dźwięk swego głosu, i prawdopodobnie mieli rację. Potrafiłam śpiewać, ale nigdy nie śpiewałam z innymi. Ruszałam tylko ustami. Śpiewałam jeszcze dziesięć lat później, kiedy podczas zajęć z matematyki, siedziałam w tylnym rzędzie klasy. Jednak nigdy nie robiłam tego w czasie lekcji śpiewu.

Do mojej klasy chodziła Shelly. Co roku urządzała przyjęcie urodzinowe, na które jej matka wspaniałomyślnie mnie zapraszała.

Z kolei Kathleen chodziła do jednej z klas równoległych. Co roku mówiła mi, że jestem dziesiąta albo czwarta na liście rezerwowej osób zapraszanych na jej przyjęcie urodzinowe. Za każdym razem miałam coraz większą nadzieję, że znajdę się wśród jej gości. Ale każdego roku wszyscy jej goście pojawiali się u niej i Kathleen nie potrzebowała żadnej rezerwowej listy.

Kay mieszkała niedaleko mnie. Była chyba najbardziej popularną dziewczyną w klasie. Miała zwyczaj ustawiania w szereg swoich przyjaciół i mówiła im: „Ty jesteś moją najlepszą przyjaciółką; a ciebie lubię zaraz po niej..." Zajmowałam na tej liście dwudziestą drugą pozycję. Na ostatnim była cicha dziewczynka z Jugosławii. Byłam ładna, wesoła, czasami zabawna, ale nie wiedziałam, jak bawić się z dziećmi. Co najwyżej wymyślałam jakieś proste gry i zabawy, pozwalając niekiedy innym bawić się ze mną, ale tylko pod tym warunkiem, że robili dokładnie to, co chciałam.

Kiedy miałam sześć lat, urodził się mój mały braciszek.

Tom nie był zaplanowanym dzieckiem, co było tym bardziej oczywiste, że moja matka myślała, że nie może już mieć dzieci. Wprawdzie unikałam patrzenia na ludzi, a mimo to nie miałam żadnych oporów przed spoglądaniem Tomowi prosto w jego dziecięce oczy. Rozmawiałam z nim, robiłam różne magiczne sztuczki, żeby go trochę rozweselić i próbowałam nauczyć go chodzić. Czułam, że jest po mojej stronie, a biorąc pod uwagę jego zachowanie, miałam być może trochę racji.

Tom bezustannie walił głową o ścianę. Była to chyba jego jedyna pociecha. W chwilach, kiedy tego nie robił, mieszkanie przypominało pobojowisko.

W wieku dwóch lat potrafił rozebrać lub zniszczyć wszystko, czego się dotknął, i robił to z szybkością, o której dorośli mogli tylko marzyć.

Tomowi podobały się nasze zabawy. Lubił kręcić się w kółko, a następnie przewracać na ziemię i patrzeć, jak świat kręci się wokół niego. Uwielbiał również ska-

kać ze mną na każdym łóżku, jakie znajdowało się w domu. Czasami, zwróceni głową w dół, kładliśmy się na górze schodów i zjeżdżaliśmy z nich, uderzając o każdy stopień. Bawiliśmy się również jego klockami, nadając każdej literze inną kategorię. Tom był zachwycony puzzlami. Kiedy miał cztery lata, doszedł już do takiej wprawy, że rozwiązywał układanki przeznaczone dla dorosłych.

Tom zaczął wcześnie mówić, choć robił to z dość osobliwym akcentem. Dla określenia osób używał określenia „chłopiec", przed którym stawiał jakieś wymyślone przez siebie słowo. Na mnie mówił „Da chłopiec", na ojca „Arkie chłopiec". Byliśmy wprawdzie Australijczykami, ale język mojego brata brzmiał jak język Szkota, który przed chwilą właśnie zszedł ze swojej łodzi.

W wieku dwóch lat Tom został zbadany przez psychiatrę, który orzekł, że mój brat jest najgorszym przypadkiem nadpobudliwości, jaki kiedykolwiek spotkał. Ja jednak nie podzielałam jego opinii. Kiedy był starszy, okazało się, że nie może jeść wielu przypraw; był uczulony na drożdże i wykazywał niedobór cynku. Podawano go nam później obojgu. Nie został przyjęty do żłobka ze względu na trudności wychowawcze, jakie sprawiał.

Podobnie jak ja, Tom był zafascynowany muzyką i niemal nałogowo uczył się jej. Potrafił do perfekcji opanować każdą melodię, ale nigdy nie pozwolił, żeby ktoś go uczył. Dziękowałam Bogu za Toma. Nie określałam go wprawdzie żadnymi z moich słów ani przezwisk, ale i tak wkroczył do mojego świata.

Miałam siedem lat, kiedy przeprowadziliśmy się do dużego domu. Na początku przypominał on dom, w którym straszy (zmarł tam poprzedni lokator).

W nowym domu Toma prześladowało dwóch „przyjaciół", którzy wprawiali go w przerażenie. Jeden z nich nazywał się „Pan Leg", a drugi „Duży Ans", zwany zresztą później „Duże Ręce". Zdaje się, że powiedziałam Tomowi, że obaj żyją na schodach niedaleko mojego pokoju. Wprawdzie młodszy brat był moim najlepszym przyjacielem, ale nawet on nie miał prawa dotykać ani zbliżać się do mojego pokoju. Musiał jednak przejść po schodach, żeby dostać się do łazienki. Był tak przerażony, że każda wizyta tam była dla niego katuszą.

Matka zmieniła to nowe więzienie w dom dla lalek. Ja mieszkałam na strychu. Po upływie kilku tygodni rodzice zamontowali w oknach kraty. Wydawało się, że zostanę takim strychowym wariatem. Rzeczywiście zachowywałem się jak pomylona. Kiedy tak przez lata walczyłam o dostanie się do „prawdziwego świata", czując jednocześnie potrzebę schronienia się w moim własnym, stawałam przy oknie z twarzą przyciśniętą do krat i „spuszczałam" różne przedmioty, nie dbając o to, czy nie lądują akurat w rynnie, ponieważ byłam zadowolona, że nikt ich nie widzi i nie wie, co czuję naprawdę. To stanowiło mój dylemat – wszystko miało podwójne oblicze.

Mniej więcej w tym czasie ponownie sprawdzano mój słuch. Potrafiłam wprawdzie mówić, ale często nie używałam języka w ten sam sposób, w jaki robili to inni i nie rozumiałam, co się do mnie mówi. To prawda, że słowa są symbolami, ale nieprawdziwe byłoby stwierdzenie, że nie rozumiałam symboli. Miałam cały system zależności, który uważałam za swój „język". To inni ludzie go nie rozumieli i nie było sposobu, żebym potrafiła lub chciała im go wyjaśniać. Zbudowałam więc swój własny język. Wszystko, co robiłam, począwszy od złączenia dwóch palców u ręki, a kończąc na pstrykaniu palcami u stóp, miało jakieś znaczenie. Dzięki temu byłam pewna, że wszystko kontrolowałam i nikt nie mógł mnie dosięgnąć, niezależnie od miejsca, w którym się znajdowałam. Czasami moje znaki miały wyrażać to, jak się czuję, ale ponieważ były tak bardzo nieczytelne, często przechodziły niezauważone lub traktowano je jak dziwactwa „szalonej Donny".

Trish, którą wtedy spotkałam, również znajdowała się za kratami. Wracając ze szkoły, próbowałam iść wzdłuż Martin Street, ale bałam się rosnących tam drzew. Były to takie drzewa, które po zrzuceniu liści wyglądały jak olbrzymie, guzowate dłonie o długich, wykrzywionych w geście upomnienia palcach. Nawet bez liści zdawały się dominować nad całą ulicą i pokrywały ją cieniem. Ścieżka wydeptana przez ludzi miała dosyć dziwaczny kształt i trzeba się było bardzo koncentrować, żeby nie nadepnąć na żadną z linii. Nienawidziłam Martin Street.

Zaczęłam więc chodzić ulicą, przy której mieszkała Trish; trwało to przez kilka lat. Na jej ulicy znajdowały się domy, wokół których rosły róże. Ilekroć wracałam do domu, ścieżka i pobliski teren pokryte były płatkami róż.

Pewnego dnia zatrzymałam się, żeby popatrzeć na dzieci, które bawiły się za kratami. Zawołały mnie. Zapytałam je, dlaczego są zamknięte. Nie uświadamiałam sobie wtedy, że one znajdowały się po prostu w ogrodzie swojej babki, który oddzielała od ulicy wysoka, czarna, wykonana z żeliwa brama.

Trish niedawno pojawiła się w naszej szkole. Była cichą, nieśmiałą i miłą dziewczyną o łagodnym, prostym usposobieniu. Była również najstarsza z trojga dzieci.

Wierzyłam, że Trish jest moją starszą siostrą, i choć zawsze byłam obojętna lub dominująca, nie czułam się tym faktem zagrożona. W szkole trzymałyśmy się razem. Pokazywałam jej, jak przecierać oczy i patrzeć na słońce tak, aby widzieć kolory. Częstowała mnie wspaniałymi ciastkami upieczonymi przez jej babcię i dużo ze mną rozmawiała. Wprawdzie słuchałam jej, ale często właściwie nie słyszałam. Ponieważ jednak lubiłam Trish, patrzyłam jej prosto w oczy, żeby zachować pozory. Byłam jej najlepszą przyjaciółką, a ona stanowiła dla mnie dowód, że i ja mogę mieć przyjaciela.

Najczęściej jeździłyśmy na rowerach, bawiłyśmy się w parku, uprawiałyśmy różne gry słowne i rozmawiałyśmy o rzeczach, które chciałybyśmy mieć. Ja śpiewałam, tańczyłam i bawiłam się własnym cieniem. Ona z kolei obserwowała mnie i śmiała się z tego, co robię. Nie miałam nic przeciwko temu. Lubiłam Trish.

Kiedyś mieszkałam u Trish przez kilka tygodni. Miałam ze sobą moją małą teczuszkę, do której włożyłam pluszowego misia pożyczonego mi przez Trish.

Pierwszej nocy śmiałyśmy się, chichotałyśmy i wymyślałyśmy zabawne nazwy dla poszczególnych przedmiotów. Mama Trish powiedziała nam, żebyśmy poszły spać. Trish przytuliła się do swojego pluszowego misia, a ja do tego, którego dostałam od niej.

„Boję się, Trish" – powiedziałam. „Nie chcę wracać do domu, ale tu też nie chcę zostać." Wtedy Trish powiedziała, żebym przyszła do jej łóżka.

Ludzie już dawno przestali mnie przytulać, ale ja chciałam być taka, jak Trish. Weszłam do jej łóżka w taki sposób, jak gdybym nią była. Przytuliła mnie do siebie jak swojego pluszowego misia. Byłam przerażona. Wydawało się, że dawno zapomniane i głęboko ukryte łzy nagle zaczęły ze mnie wytryskiwać.

Tak oto leżały koło siebie dwie siedmioletnie dziewczynki. Dla jednej z nich było oczywiste, że ludzie przytulają się do siebie, żeby poczuć się lepiej, dla drugiej, która z trudem to wytrzymywała, cały ten akt miał w sobie coś przerażającego i niepokojącego.

Mama Trish weszła do pokoju, żeby sprawdzić, czy już śpimy.

„Co wy obie robicie w jednym łóżku? No, Donna, wracaj do siebie." – powiedziała.

„Dobranoc" – powiedziała zaspana Trish.

„Dobranoc" – odpowiedziałam drżąco.

Jeszcze przez wiele lat po tym zdarzeniu miałam zwyczaj unoszenia koca i zapraszania do łóżka każdej osoby, która weszła do mojego pokoju. Stałam się Trish.

Wtedy w pokoju Trish leżałam w łóżku na plecach, starając się być tak staranna, jak to tylko możliwe. Zaczęłam skrupulatnie ustawiać łóżko wokół mego ciała w taki sposób, aby znajdowało się ono w jego środku. Ręce trzymałam na wierzchu kołdry; perfekcyjny obraz „staranności".

Doszłam do wniosku, że zajmuję w łóżku za dużo miejsca. Przesunęłam się do jego krawędzi, zaplątując się po drodze w kołdrę, co spowodowało, że wyglądałam jak uprane ubranie, które trzeba rozwiesić, żeby wyschło.

Robiłam coraz więcej zamieszania. Wyszłam z łóżka i usiadłam na jego brzegu. Znów zajmowałam za dużo miejsca. Przesunęłam się do rogu. W koszuli nocnej nie wyglądałam porządnie. Musiałam się ubrać. Założyłam na siebie ubranie i, patrząc na żaluzje, czekałam z niecierpliwością na nadchodzący dzień.

Ubrania, które ze sobą przyniosłam, nie były dostatecznie schludne. Zwinęłam je i, starając się nie robić zbytniego hałasu, przepakowałam walizkę i postawiłam ją obok moich nóg, które zwisały swobodnie z łóżka. Spojrzałam na Trish i zapragnęłam, żeby ona była taka, jak ja, a ja taka, jak ona. Obserwując ją pogrążoną we śnie,

Udałam się również na przyjęcie. Nie rzucałam się jednak w oczy; siedziałam gdzieś z tyłu, zbyt onieśmielona i zagubiona, żeby w ogóle się odzywać. Uśmiechałam się, udając, że świetnie się bawię.

Ostatniego dnia w szkole, kiedy inne dzieci bawiły się na dworze, razem z przyjaciółką zostałyśmy w klasie. Zajrzałyśmy do notatnika naszego nauczyciela. Moja przyjaciółka przeczytała jego opinię na swój temat. Ja również zerknęłam na informację zapisaną pod literą W. Było tam tylko jedno zdanie „Donna Williams to dziecko z zaburzeniami."

Pan Reynolds, który właśnie opuścił pokój nauczycielski sąsiadujący z naszą klasą, wszedł do środka i złapał nas na gorącym uczynku. Był zdenerwowany.

– Co wy tu wyprawiacie? – zapytał.

– Dlaczego pan o mnie pisze? – zapytałam – Co to znaczy, że mam zaburzenia?

– Nie wolno zaglądać ci do moich notatek – odparł gniewnie.

Ta opinia, jak się zdaje, była wynikiem lektur na tematy psychologiczne. Wychodziłam ze szkoły z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony byłam zła na pana Reynoldsa, a z drugiej nieco zakłopotana jego odkryciem.

W miarę upływu lat coraz bardziej sobie uświadamiałam, że mam trudności w porozumiewaniu się z innymi ludźmi. A może chodziło tylko o to, że zaczynałam rozumieć ich „troskliwe" uwagi na mój temat.

Kiedy byłam w nastroju do mówienia, mówiłam godzinami o czymś, co mnie akurat zainteresowało. Im byłam starsza, tym bardziej interesowały mnie przedmioty i coraz więcej o nich mówiłam. Dyskusje z innymi właściwie mnie nie interesowały. Często w ogóle nie słuchałam moich rozmówców albo przerywałam ich wypowiedź. Najważniejszą rzeczą w rozmowie było dla mnie odpowiedzenie na pytania, które sama sobie stawiałam.

Jeśli czegoś nie wiedziałam, udawałam, że wiem, albo wmawiałam sobie, że na poznaniu danej rzeczy wcale mi nie zależy. Jeśli musiałam zadać jakieś pytania, nie formułowałam ich do nikogo w szczególności i wypowiadałam je jakby w powietrze. Pamiętam, że robiłam tak przez długie lata. Wpadałam w złość, kiedy, chcąc się czegoś dowiedzieć, musiałam przełamać niechęć przed zadaniem komuś pytania.

Miałam kilka sposobów rozwiązywania tego problemu. W szkole na przykład, chcąc zwrócić na siebie uwagę danej osoby, zaczynałam przed nią chodzić, a następnie mówiłam o tym, co mnie akurat interesowało. Zazwyczaj robiłam to tak, aby osoba ta nie domyśliła się, jakie są moje prawdziwe intencje. Ludzie często w ogóle nie zwracali uwagi na mój szczebiot, myśląc, że formułuję jakieś stwierdzenia, a nie zadaję pytania. Wyglądało to tym dziwniej, że ja w ogóle nie zwracałam uwagi na ich odpowiedzi, albo mówiłam coś, co z ich odpowiedzią nie miało żadnego związku. Mimo wszystko jednak ważne dla mnie było już to, że oni mnie

słuchali, dlatego każde zdanie zaczynałam od słów „Cześć", „Wiesz co?", i kończyłam „rozumiesz?", „prawda?", „okay". Było to dla mnie tak typowe, że ludzie często żartowali sobie ze mnie, doskonale wiedząc, jak rozpocznę i jak zakończę moją wypowiedź.

Sytuacja w domu wyglądała podobnie. Matka kazała na siebie wołać „Mamo", wiedząc, że wzbudza to we mnie pewne zaniepokojenie. Pod groźbą kary musiałam się na to godzić, wypowiadając to słowo z taką nienawiścią, że brzmiało ono jak przekleństwo. W końcu najczęściej zwracałam się do niej po imieniu.

Mimo wszystko jednak byłam ciekawa świata. Chciałam się uczyć. Chodziłam, mówiąc na głos, w nadziei, że zwrócę na siebie czyjąś uwagę. Wybierałam sobie jakiś temat i długo o nim rozprawiałam; zawsze jednak w sposób niejednoznaczny. Matka na mój sposób porozumiewania się mówiła „paplanie". Myślę, że według niej oznaczało to „niezrozumiałą, bełkotliwą mowę".

Dla mnie jednak „paplanie" było sposobem porozumiewania się i wcale nie uważałam, że jest bełkotliwe. Potrzebowałam ogromnej odwagi, żeby otworzyć do kogoś usta i rozmawiać o tym, co mnie interesowało. Stawiałam się wtedy w pozycji, w której bardzo łatwo można było mnie zranić. Odsłaniałam przecież moją osobowość i tożsamość. Strach, jaki z tego powodu odczuwałam, sprawiał, że tylko w ten sposób mogłam o sobie mówić.

To wszystko wyglądało trochę tak, jakbym za pomocą tej nieco zblazowanej i obojętnej paplaniny musiała oszukiwać mój własny umysł. Żadna inna metoda nie była po prostu skuteczna. Zamykałam się w sobie, a z mych ust nie wydobywało się żadne słowo. Gdybym nie odkryła tego sposobu, moje słowa, podobnie zresztą jak krzyk i płacz, na zawsze pozostałyby w ukryciu.

Ludzie starali się dowiedzieć, o co mi właściwie chodzi. Sprawa była prosta w sytuacji, kiedy moja odpowiedź na ich pytania była negatywna. Opinie, które nie dotyczyły mojej tożsamości ani potrzeb, wypowiadałam ze swadą równą komikowi opowiadającemu dowcipy.

Pamiętam pewne zdarzenie z okresu, kiedy miałam siedem lat. Zostałam spoliczkowana po tym, jak weszłam do czyjegoś domu i oznajmiłam „Tu jest bardzo brudno", a następnie zwróciłam się do właściciela, entuzjastycznie informując go o tym, że „ma tylko jedną rękę". Było to typowe dla mnie zachowanie i wkrótce wyrobiłam sobie opinię osoby nieuprzejmej, grubiańskiej i pyskatej. W późniejszym okresie mojego życia te cechy nie miały już tak negatywnego zabarwienia, ponieważ zjednały mi reputację kogoś, kto „nie boi się mówić tego, co myśli".

Wcielając się w postaci Carol i Willie, mogłam wprawdzie powiedzieć to, co myślę, ale nie mogłam wyrazić swoich uczuć. Rozwiązaniem tego problemu było nie angażowanie się emocjonalne w sprawy, które właśnie w sferze uczuciowej mogły mnie poruszyć. Właściwie do pewnego stopnia postępuje tak każdy człowiek, aby ukryć swoje uczucia. Ja jednak musiałam przekonać siebie samą; otoczyłam się więc bardzo grubym pancerzem.

Zachowywałam się w sumie podobnie jak wtedy, kiedy powołałam do życia Carol, która miała mi pomóc w nawiązaniu kontaktu z ludźmi. Bo tak naprawdę przecież, Donna nigdy nie nauczyła się rozmawiać. Wszystko, co teraz czułam, musiało być zanegowane albo wyrażone w sposób, który inni nazywali trajkotaniem, szczebiotaniem, paplaniem albo „pitoleniem". Ale ja nazywałam to „poetyzowaniem".

Miałam dwanaście lat, kiedy matka i starszy brat znowu zaczęli się ze mną systematycznie drażnić. Wyglądało to w ten sposób, że jedno z nich zadawało pytanie „Co ona powiedziała?", na co drugie odpowiadało „Nie słuchaj jej. Ona znowu pitoli."

Wymyślili dla mnie nowe imię – „młot". Miało to sugerować, że jestem kretynką. Mój starszy brat, pewien, że nie odważę się uderzyć „dumy i radości" mojej matki, przysuwał swoją twarz bardzo blisko mojej i, przekrzywiając głowę w charakterystyczny dla mnie sposób, mówił „Pitolek, pitolek, młot, młot". Byłam zdenerwowana nie tylko jego fizyczną bliskością, ale również słowami, jakie wypowiadał. Było tak chyba dlatego, że przysuwając swoją twarz tak blisko mnie, naruszył moją osobistą przestrzeń. Być może powodem było również to, że przekrzywiał głowę w ten sam sposób, co ja, kiedy próbowałam kogoś zrozumieć, albo że podobnie jak ja wymyślał nowe słowa.

Nieistotne zresztą, co wywołało moją reakcję; faktem jest, że słowa, które słyszałam, sprawiały mi ogromny ból. Kiedy brat i matka zorientowali się, że reaguję na to, co mówią, bezlitośnie drażnili się ze mną dalej, a ja, rozzłoszczona, powtarzałam w kółko „Nie jestem wariatką." W końcu dawałam za wygraną.

Moja matka powiedziała, że zmieniłam się, kiedy miałam dwanaście lat. Nigdy wcześniej nie musiałam tak bardzo walczyć o zachowanie mojego świata. „Świat" znowu wydawał się polem bitwy albo sceną, z tym że teraz, aby przetrwać, byłam zmuszona do ciągłych prób „grania w tę grę. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby „świat" trwał sobie gdzieś obok, a ja schroniłabym się w moim własnym świecie. Nie mogłam jednak ignorować matki i brata, którzy najwyraźniej uczynili sobie zabawę z mojej odmienności. Z nienawiści i poczucia niesprawiedliwości chciałam uczynić broń, za pomocą której pokazałabym im, że się mylą. Jednocześnie strach przed odczuwaniem kazał mi się zamknąć w moim własnym świecie. Byłam więc między młotem a kowadłem. Obie te siły miały niszczący wpływ zarówno na moje prawdziwe „czucie siebie", jak i na tych, którzy próbowali się do mnie zbliżyć.

Matka chciała posłać mnie do szkoły żeńskiej. Ja jednak byłam temu przeciwna i powiedziałam, że jeśli nie pośle mnie do szkoły koedukacyjnej, to w ogóle zrezygnuję ze szkoły. Matka uległa mojej presji.

Szkoła średnia, do której chodziłam, miała nienajlepszą opinię i znajdowała się w niebezpiecznej dzielnicy. Wymagania nie były duże, co mi bardzo odpowiadało. Byłam wybuchowa, niegrzeczna i mało aktywna na lekcjach. Na początku bardzo dobrze pasowałam do tej szkoły.

Kiedy pojawiłam się tam po raz pierwszy, byłam w tej samej sytuacji, co większość pierwszoklasistów – nie miałam przyjaciół. Ale dosyć szybko zaczęłam przyciągać uwagę takich samotników jak ja. Moja przyjaźń z każdym z nich wyglądała tak samo – kłótnie, które doprowadzały do poważnej bójki. Zdobywałam sobie reputację bitnej i niepokornej; były to cechy zapewniające w szkole popularność. Biłam się zarówno z moimi byłymi przyjaciółmi, jak również z tymi, którzy mnie zaczepiali, albo których ja zaczepiałam.

Inne dzieci uważały, że jestem dzika i szalona. Przeklinałam na nauczycieli, rzucałam różnymi przedmiotami, wychodziłam ze szkoły i niszczyłam prawie wszystko, czego się dotknęłam – włączając w to mnie samą. Namawiałam jednych do tak szybkiego potrząsania dłonią, żeby wydawało się, że odpada z nadgarstka, albo do potrząsania głową, żeby usłyszeć, jak grzechocze mózg. Wstrzymywałam oddech i napinałam mięśnie brzucha, co doprowadzało do tak dużego ciśnienia wewnątrz mojego organizmu, że stawałam się czerwona, trzęsło mną, a w końcu traciłam przytomność. Uczniowie śmiali się ze mnie i mówili, że jestem pomylona. Nauczyciel był zdania, że mam jakieś poważne zaburzenia. Ale mi nie zależało na „ich świecie", nie miałam zamiaru być jego częścią, a jeśli już musiałabym tam wejść, to wyłącznie na moich warunkach. Byłam wolnym człowiekiem i uważałam, że jeśli tylko mam ochotę wyjść ze szkoły i gdzieś sobie pójść, nikt nie może mnie przed tym powstrzymać.

Szczególną przykrość sprawiały mi zajęcia z WF-u. Nie znosiłam być członkiem drużyny, walczyć o zwycięstwo i robić tego, co mi każą. Wszelkie próby nauczenia mnie dyscypliny przyjmowane były przeze mnie z niechęcią, a czasami wręcz wrogością. Jedna z nauczycielek, nieświadoma powagi mej sytuacji, postanowiła dać mi nauczkę.

Kazała mi zostać ze sobą w przebieralni i łapać piłkę od krykieta, którą ze złością we mnie rzucała. Zawsze odczuwałam strach przed złapaniem czegokolwiek. Pierwsza piłka ugodziła mnie w żołądek, a potem zostałam nimi dosłownie obsypana, kiedy próbowałam uciekać, jak mała, wystraszona dziewczynka. Złościł mnie jej brak tolerancji, bałam się piłek, które we mnie rzucała, natomiast nie czułam wtedy w ogóle jej gwałtowności. Kiedy dziś patrzę na to z perspektywy czasu, myślę, że jednak zraniła moje uczucia.

Malowanie, lepienie garnków i prace w drzewie były moją pasją. Lubiłam tworzyć nowe przedmioty, chociaż nie chciałam, żeby ktoś mi pokazywał, jak je zrobić, a tym bardziej mówił mi, czym one mają być. Nie lubiłam też pokazywać ich innym ludziom.

Lubiłam lekcje muzyki, ale w ogóle nie śpiewałam; jednak nawet podczas tych lekcji zachowywałam się niegrzecznie i przeszkadzałam w zajęciach.

Nie lubiłam matematyki; rozwiązanie zawsze miałam w głowie, ale tym razem byłam zobowiązana do przedstawienia mojego sposobu myślenia. Uznałam, że wystarczającym kompromisem będzie, jeśli przepiszę do zeszytu rozwiązania znajdujące się na końcu książki.

Oddawałam wypracowania z angielskiego, ale nigdy nie pisałam na temat. Po prostu jeśli coś mnie akurat zainteresowało, opisywałam to. Mój styl był tak niejasny, że dla jego właściwego zrozumienia potrzebny był właściwie klucz. Miałam też zwyczaj umieszczać na tekście delikatny rysunek, który zajmował również nie zapisaną część strony. Uważałam, że w ten sposób mogę lepiej wyrazić moje myśli. Ten rysunek był również nieco symboliczny, co wynikało z mojej trudności mówienia wprost o sobie.

Świadoma, jak niewiele prawdy o sobie mogę przekazać, postanowiłam, że nie będę już dłużej nazywać się Donna, lecz Lee. Oznaczało to, że ludzie nie rozmawiali z Donną, lecz z postaciami, które się w niej znajdowały. Willie uosabiał moją złość, a zimna i pozbawiona uczuć Carol moją zdolność do odgrywania różnych postaci i zdolność porozumiewania się z innymi ludźmi. Uważałam, że nie mam żadnego obowiązku wyjaśniania czegokolwiek ludziom. Te wyjaśnienia zresztą pozostawały moją tajemnicą przez dwadzieścia trzy lata.

Większość dzieci, które znałam, nie chciała zwracać się do mnie jak do Lee (to słowo pochodziło zresztą od mojego drugiego imienia). A ja z kolei bezczelnie udawałam, że ich nie znam. Ostatecznie doszło do tego, że zwracano się do mnie kilkoma przezwiskami. Nie miałam nic przeciwko temu i, jeśli tylko te nowe imiona nie obrażały mnie w jakiś sposób, czułam się zupełnie szczęśliwa. W domu przesiadywałam przed lustrem i wpatrywałam się w siebie albo powtarzałam w kółko moje imię; czasami również odpowiadałam sobie samej. Bywały takie chwile, że bardzo bałam się utraty zdolności czucia siebie.

Traciłam zdolność odczuwania. Nie przeszkadzałoby mi, gdyby się okazało, że mój świat jest zupełnie pusty. Jednak utrata kontroli nad tym światem w sposób bezlitosny przesuwała mnie w rejony czegoś na kształt otchłani, gdzie nie było miejsca na żaden komfort. Podobnie jak i inne „niedorozwinięte" dzieci, zaczęłam się świadomie okale-

czać, żeby w ten sposób nie zatracić czucia. Wydawało się, że to, co dla innych było „normalnością", wpędziło mnie na ścieżkę wiodącą do szaleństwa. Tylko dzięki temu, że zamknęłam się w moim własnym świecie, pozostałam przy zdrowych zmysłach.

Nakarm zabłąkane koty, ale nie udzielaj gościny zbłąkanym dzieciom.
Zabłąkane koty poradzą sobie same.
Udawaj, że ich tam nie ma, i że wcale o nie nie dbasz.
Zbłąkanymi dziećmi zajmie się ktoś inny.

Podczas gdy ja zaczynałam się gubić, moja matka nabierała nowych sił. Dojrzewałam fizycznie, a ona ponownie odkrywała w sobie kobiecość. Ojciec często przebywał poza domem, a matka stała się nagle miłośnikiem przyjęć. Zaczęła odnawiać przyjaźnie ze swoimi znajomymi z lat szkolnych.

Cały dom aż trząsł się od rock and rolla i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała teraz matka, była ładna córka, borykająca się z problemami dojrzewania.

Byłam wszystkiemu winna. Gdy tylko przestąpiłam próg domu, matka biła mnie i kopała, ciągnęła za włosy, a jej słowa pełne były wulgaryzmów i jadu. Jedno się tylko nie zmieniło – jak zwykle w ogóle nie krzyczałam.

Miałam w szkole przyjaciółkę, której rodzina, podobnie jak moja, była zupełnie rozbita. Czasami chodziłam do niej na noc, czasami wysyłano mnie tam, nie pytając o zdanie. Ale bywało i tak, że nie wolno mi było zostać u niej na noc i moja przyjaciółka musiała wpuszczać mnie po kryjomu. Pewnej nocy w ogóle nie miałam gdzie spać.

Moja druga przyjaciółka mieszkała kilka przecznic dalej. Kiedy nie miałam się gdzie podziać, udałam się prosto do niej. Nie znałam jej zbyt dobrze, ale pamiętałam, że kiedyś zgodziła się przyjąć bezdomnego kota, dla którego w obawie przed matką musiałam znaleźć nowy dom. Zjawiłam się u niej wieczorem i, przerywając jej kolację, zapytałam, czy mogłabym przenocować w garażu.

Zgodziła się. Ponownie przyszłam do jej domu mniej więcej o dziewiątej wieczorem. Przez cały czas wałęsałam się po ulicach, żeby zabić jakoś ten czas. Kiedy jednak dotarłam do garażu, drzwi były zamknięte, a światła wygaszone.

Znalazłam się na jakiejś alejce; ubrana w swoją wełnianą kurtkę, bez której nigdzie się nie ruszałam, postanowiłam się tam położyć. Nagle usłyszałam czyjeś kroki; zerwałam się gwałtownie i pomknęłam przed siebie. Był to zapewne policjant, który obserwował, jak włóczę się po ulicach. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie pójść do opuszczonego domu znajdującego się naprzeciw domu mojej przyjaciółki. Bałam się tego jednak, ponieważ ludzie mówili, że tam straszy.

Usiadłam na plocie sąsiada mojej przyjaciółki. Była druga rano. Australijskie lato. Wiele osób ma wtedy kłopoty z zaśnięciem, w tym również dwunastoletnia dziewczynka w wełnianej kurtce.

W ciemnościach dostrzegłam, jak, maszerując przez trawnik, zbliża się do mnie jakaś kobieta. Zerwałam się do biegu. „Nie bój się!" – krzyknęła – „Chcę tylko z tobą porozmawiać." Wydawała się tak niezwykle łagodna. Zaprosiła mnie do domu na filiżankę herbaty. To wszystko przypominało jakąś bajkę, na którą czekałam od dziesięciu lat. Ta kobieta była moim wyobrażeniem o matce Carol.

– Jest druga rano – powiedziała bez żadnych emocji. – Nie zjadłabyś płatków? – Zgodziłam się, nie dziękując. – Chciałabyś zadzwonić do swojej mamy i powiedzieć jej, gdzie jesteś? – zapytała.

– Ona wie, gdzie ja jestem – odpowiedziałam.

– Skąd może o tym wiedzieć? – zapytała.

– Myśli, że jestem w domu pani sąsiada – odpowiedziałam – Tam mieszka moja przyjaciółka.

– Jeśli tak, to dlaczego teraz u niej nie jesteś? – zapytała.

– Bo ona tego nie chce – powiedziałam.

Kobieta powiedziała, że mogę u niej zostać, i zaprowadziła mnie do niewielkiego, zielonego pokoju z pochyłym sufitem i lustrem w ścianie. Było to tak piękne, że mogłabym tam zostać na zawsze. O świcie, zażenowana tym wydarzeniem, opuściłam dom nieznajomej kobiety i nigdy więcej już jej nie zobaczyłam.

Każdego dnia, wracając ze szkoły, przechodziłam przez cmentarz. Tego dnia powiedziałam sobie, że po powrocie do domu nie będę już więcej płakać. Postanowiłam wejść śmiało do środka, spojrzeć matce prosto w oczy i uśmiechnąć się.

Ale powitanie było takie samo, jak zwykle. Tym razem jednak matka powyrywała mi włosy. Moja głowa, którą waliła o ścianę, wydawała głuchy odgłos. Moje czoło było lepkie od krwi i włosów. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Spojrzałam w górę, patrząc matce prosto w oczy z szerokim uśmiechem na twarzy.

Usłyszałam błagalny głos: „Zostaw ją w spokoju, proszę."

Matka krzyczała bezsilnym głosem: „Dlaczego ty, kurwa, nigdy nie płaczesz?"

Opadłam z sił i osunęłam się na podłogę.

Obudziłam się w mojej sypialni i zaczęłam wpatrywać się w sufit. Cisza w mojej głowie była niezwykle głośna. Ludzie przychodzili do mnie i odchodzili; byli zawstydzeni. Nie pojawił się żaden lekarz. Donna znów wróciła. Patrzyła nieprzytomnie w sufit. Ludzie, którzy teraz krzyczeli i wrzeszczeli, byli wystraszeni. Ale Donna nie odpowiadała. Mój starszy brat pukał mnie w czoło niczym w drzwi i pytał: „Jest tam kto?" Nic mnie nie obchodziło; nikomu nie zależało, żeby otworzyć te drzwi. Jego twarz znowu blisko przysunięta do mojej, znowu stare kawały. „Daj jej spokój" – odezwał się czyjś głos.

Siedząc przy stole, patrzyłam na kolorowy talerz oraz nóż i widelec w moich rękach. Patrzyłam przez ten kolorowy talerz i wszystko traciło swą barwę. Moją obserwację zakłócały ręce ze srebrnym nożem i widelcem.

Na końcu srebrnego widelca znajdował się jakiś przedmiot. Siedział tam nieruchomo. Podążyłam wzrokiem za ręką, która znajdowała się na końcu widelca. Przestraszona, kierowałam wzrok coraz wyżej; na ramię łączące się z tułowiem, głowę, twarz. W końcu zatrzymałam się, wpatrzona w oczy, które rozpaczliwie na mnie spoglądały. To był mój ojciec. Przypomniałam sobie jego dłoń, ramię, ten sam widelec i ten sam kolor. Po twarzy zaczęły mi spływać łzy. To był znów mój dziadek. Miałam znowu dwa lata i znowu karmił mnie dziadek. Jadłam z podanego mi widelca.

Postanowiono wysłać mnie na jakiś czas na wieś. Trzygodzinną podróż pamiętam jak w zwolnionym tempie. Wszystko podzielone było na kawałki. Był to zniewalający mnie układ kolorów – zielone trójkąty, złote kwadraty i niebieski błękit, w którym zatapiałam się jak w kąpieli.

Weszłam do domu ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Czułam się wtedy, jak gdybym znowu miała trzy lata; dywan zdawał się wszędzie rozpościerać, przypominając skupiska długich węży. Moją uwagę zwróciła mała dziewczynka, siedząca na dużym krześle. Ponieważ posturą przypominała mojego brata, pomyślałam – „O, Boże, a więc on również tutaj jest."

W mojej głowie panowała absolutna cisza, a wszystko dookoła wydawało się tak bardzo „zewnętrzne". Zupełnie jak gdyby znajdowało się tysiące kilometrów ode mnie.

Zaczęłam iść długą ścieżką, słysząc chrzęst własnych stóp. Wspinając się w górę, dotykałam ziemi i trawy – moich starych przyjaciół. Zaczęłam bujać się na huśtawce, coraz wyżej i wyżej. Za chwilę uniosę się w powietrze – nareszcie.

Dziewczynka zaczęła mi się przyglądać. Wsłuchiwałam się w jej bardzo daleki głos. Dotknęłam krótkich, jasnobrązowych włosów. Odsunęły się ode mnie. Nagle, wystraszona, dostrzegłam, że dotknęłam konia.

Mała dziewczynka na wysokim krześle coś mówiła. Miała śpiewny i wesoły głos. Próbowałam zrozumieć, co mówi. Podeszłam do niej, wsłuchując się w dobiegające mnie dźwięki. Zaczęłyśmy ze sobą rozmawiać.

Nagle ktoś nam przerwał. Postać osoby dorosłej zamigotała w pobliżu. Ktoś otwierał piecyk. Coś się gotowało? „Tak, to węgorz. Jadłaś kiedyś węgorza, Donna?" Dźwięk mojego imienia sprawił, że poczułam się, jak gdyby wymierzono mi policzek. Poszłam do salonu, usiadłam na kanapie i zaczęłam słuchać muzyki. Cały pokój był kolorowy i pełen muzyki.

Miałam przy sobie trochę pieniędzy. Ponieważ lubiłam kobietę, która mieszkała w tym domu, postanowiłam coś jej kupić. Pod stopami chrzęściły kamyki, w ręku dzwoniły monety. Na przemian otwierałam i zamykałam rękę. Spójrz na monety – słyszałam w głowie swój własny głos, który komentował to, co robię, przywołując mnie w ten sposób do świadomości. „Co robię? Co robię? Co robię?" Wszystkie te

zdania znowu były jedynie ciągiem dźwięków. Czy mówiłam? Czy ktoś widział, jak poruszam ustami? Czy wydobyłam z siebie jakiś dźwięk?

Zaczęłam znów zakochiwać się w życiu. Kochałam niebo, ziemię, drzewa, trawę, kwiaty. Kochałam szyby w oknach. Machałam sobie ręką na powitanie. Pociągałam się za włosy i czułam, że je mam. Zaczęłam ssać moje ręce, smakując słonawą skórę, i oglądałam swoje piegi. To właśnie byłam ja. Podobały mi się bardzo srebrne nogi wysokiego krzesła i jego laminowane oparcie. Kładłam na nim twarz, a czasami nawet je lizałam. Uwielbiałam podłogę, dach i drzwi. Kochałam małą dziewczynkę, która ze mną rozmawiała, i jej matkę, która karmiła mnie węgorzem.

Przyjechała po mnie matka. Opuszczając to miejsce, patrzyłam, jak wszystko zostaje w tyle. Drzewa i złote pole. Patrzyłam na rozciągającą się hen drogę.

Kiedy znalazłam się w moim pokoju na poddaszu, znowu gubiłam się we wzorach tapety. Siedziałam tak nieruchomo przez wiele godzin, również w nocy, i wpatrywałam się w ciemność. Kiedy musiałam iść do toalety, podnosiłam się z łóżka i, zanim weszłam na fioletowy dywan, którego tak bardzo nienawidziłam, przechodziłam kilka kroków po podłodze.

W miarę upływu czasu dzięki tym zachowaniom stawałam się coraz bardziej siebie świadoma. Patrzyłam na przykład, jak robi się kałuża, i chichotałam, kiedy zaczynała sięgać do drogocennego dywanu. To był „mój świat", w którym i „ja" się znajdowałam. Im większą przestrzeń zapełniałam na dywanie, tym więcej „mnie" było w świecie. Nie przejmowałam się zapachem. Zapach należał do mnie i oddzielał innych ludzi. Zanim matka zorientowała się, co się stało, ja już osiągnęłam swój cel. Wróciłam do pokoju; tam, gdzie wszystko należało do mnie.

Pewnego dnia matka podniosła ścierkę, którą wytarła właśnie kałużę. Na jej twarzy malowało się zupełne osłupienie, a na mojej dławiący strach. Strach przed utratą świata, który został właśnie odkryty. Nieoczekiwanie matka opuściła pokój, nie mówiąc ani słowa.

Wróciła jednak, żeby zabrać mnie do lekarza. Weszła do gabinetu, zostawiając mnie w poczekalni. Po chwili wyszła i zabrała mnie do sklepu, gdzie kupiła plastikowy nocnik. „Masz do niego siusiać" – oznajmiła. Mój starszy brat, śmiejąc się, zaczął mi dokuczać. Ku memu zdumieniu matka powiedziała mu, żeby się uspokoił. Więcej już na ten temat nie rozmawiano, ani wtedy, ani nigdy więcej.

Zastanawiali się, co zrobić z dywanem, który przez ostatnich kilka miesięcy był moją muszlą klozetową. „Musi się z tym pogodzić" – tak brzmiała ich pierwsza konkluzja. Doszli zapewne do wniosku, że zbytnio się tym nie przejmowałam. Dywan został zniszczony, a ja mogłam tańczyć i jeździć na wrotkach po gołej podłodze. Cała ta historia szybko się zakończyła. Nigdy potem nie używałam już nocnika; wszystko wróciło do normy.

Byłam znudzona. Chciałam iść do szkoły, miałam półroczną przerwę w zajęciach i niełatwo było to nadrobić. Ojciec wymyślił usprawiedliwienie, którego miałam się nauczyć i powtórzyć w szkole.

Dostałam od matki kartkę z wyjaśnieniem i udałam się do gabinetu dyrektora. Z wyjaśnienia tego wynikało, że byłam córką samotnej matki, która nie może się skontaktować ze szkołą osobiście, ponieważ całe dnie pracuje, zarabiając na utrzymanie mnie i mojego trzyletniego brata.

Była tam również informacja o tym, że mieszkamy na przedmieściu niedaleko szkoły, i że jestem jedyną osobą, która może zająć się moim młodszym bratem. Ponadto, jak wynikało z listu, właśnie niedawno przeniosłam się ze szkoły w innym stanie, gdzie można uzyskać informacje na mój temat. W starej szkole należałam do bardzo dobrych uczennic.

Prawda była jednak nieco inna. Mieszkałam trzy dzielnice od szkoły, miałam dwóch braci, przy czym najmłodszy miał już dziewięć lat, a cała rodzina żyła z pieniędzy, jakie moja matka wyciągała od ojca. Chodziłam do szkoły położonej w tym samym stanie, trzy dzielnice od miejsca zamieszkania, ale nie pojawiłam się tam od sześciu miesięcy. W szkole szło mi bardzo źle.

Żeby dostać się do nowej szkoły, musiałam każdego ranka podróżować autobusem i tramwajem. Szkoła rzeczywiście była nowa. Miała świecące, czerwone poręcze i przyciemnione, półokrągłe okna. Na schodach położona była wykładzina, a w samej szkole pełno było korytarzy; prawdziwy labirynt, w którym łatwo było się zgubić.

Lubiłam czerwone poręcze prowadzące na korytarz, wzdłuż którego ciągnęły się czerwone drzwi klas. Bezustannie wchodziłam do niewłaściwych pomieszczeń, zajmowałam miejsce, aż w końcu ktoś mi mówił, że moje lekcje odbywają się gdzie indziej, i wskazywał drogę do właściwej klasy.

Byłam cicha i dziwaczna. Nigdy nie rozumiałam, o co się mnie prosi, dlatego, siedząc posłusznie w klasie, rysowałam jakieś obrazki, następnie darłam kartkę na małe kawałki i składałam je na kupkę. Nauczyciele mieli do mnie dużo cierpliwości; nie pamiętam bowiem, żeby kiedykolwiek przerywano mi moją zabawę. Być może, jak to zwykle bywa z nowymi uczniami, chcieli dać mi trochę czasu, żebym się przyzwyczaiła do nowych warunków. A może cieszyli się i z tego, że przynajmniej nie przeszkadzam innym. Lub uważali mnie po prostu za niedorozwiniętą.

Podczas przerw na lunch wałęsałam się po szkole, obserwując różne kolory, które znikały pod moimi stopami. Czasami zatrzymywałam się i wpatrywałam przez ca-

łą przerwę w jakąś rzecz, na przykład wypolerowaną podłogę sali gimnastycznej albo odbicie na przyciemnionym, półokrągłym oknie. Niektóre dzieci nie kryły swej odrazy do mnie, mówiąc, że jestem nienormalna. Ignorowałam je; nie patrzyłam w ich stronę lub puszczałam mimo uszu ich uwagi. Wszystko to słyszałam już wcześniej.

O jednej z dziewczyn uczniowie mówili, że śmierdzi. Nikt się z nią nie zadawał. Mieszkała w mieszkaniu spółdzielczym razem ze swoim ojcem – pijakiem i trzema młodszymi siostrami, którymi musiała się opiekować. Myślę, że ona wyczuła we mnie bratnią duszę. Jej ojciec był brutalnym, gwałtownym człowiekiem i często ją bił. Wiedziałam, co to znaczy.

Była silna i potrafiła się bić. Jeśli o mnie chodzi, to straciłam wszelką ochotę do bójek. Zaczęła bić tych, którzy się ze mną drażnili. Nigdy jej nie odepchnęłam, więc chodziła wszędzie za mną, naiwnie sądząc, że nauczy mnie odczytywać rozkład zajęć. Teraz pozwalałam innym, żeby mówili do mnie tak długo, jak tylko chcieli. Jeśli w ogóle odpowiadałam, brzmiało to jak „Hm" albo budowałam bardzo krótkie zdania.

Zaczęłam aktywnie uczestniczyć w lekcjach rysunku. Do sztalugi przyczepiłam sobie ogromny arkusz białego papieru i rysowałam na nim kolorowe, puszyste plamy. Ktoś zapytał mnie, co one przedstawiają. „Nie wiem" – odpowiedziałam. Postanowiłam wtedy, że będę robiła tylko czarno-białe rysunki. Czarną farbą na białym tle.

Wszędzie i na czym tylko mogłam rysowałam gwiazdy. Mój umysł przypominał stan, w jakim się znajdował, kiedy miałam dwa lata. Teraz jednak, gdy tylko ktoś zanadto się do mnie zbliżył, potrafiłam zareagować bardzo gwałtownie. Pewnego razu ktoś tego spróbował. Nie wiem, ani co powiedział, ani co zrobił, ale podszedł za blisko. Chwyciłam krzesło i zaczęłam nim kręcić. Wyrzucono mnie ze szkoły. Po dwóch tygodniach pobytu.

❦

Nowa szkoła znajdowała się jeszcze dalej od starej. Była dla mnie ostatnią szansą. Wiedziałam, że jeśli będą jakieś kłopoty, wyślą mnie do domu dziecka. Miałam wtedy czternaście lat.

Starałam się żyć w zgodzie z innymi, co oznaczało, że agresję, którą poprzednio wyładowywałam na innych, obecnie skierowałam na siebie.

Z powodu mojego reumatyzmu przepisano mi środki przeciwbólowe, ale miałam je zażywać tylko wtedy, kiedy rzeczywiście ich potrzebowałam. Ból, którego doznawałam, był tak rozdzierający, że aby go zmniejszyć, wkładałam głowę między drzwi a futrynę i przytrzaskiwałam sobie głowę.

Leki przeciwbólowe niewiele pomagały i czułam się, jak gdyby moje kości zgrzytały o siebie tak samo, jak zęby. Przepisano mi również „tabletki na nerwy", żebym się trochę uspokoiła. Od pewnego lekarza dostałam również środki nasenne, ponie-

waż ciągle jeszcze bałam się zasypiać. Jednak nie brałam tych leków regularnie. Dopiero, kiedy ból był już nie do wytrzymania, połykałam ich całą garść. Szukałam sobie wtedy jakiegoś ustronnego miejsca, osłaniałam się naprędce skleconym ogrodzeniem i czułam, jak wszystko znika.

Tak samo jak wcześniej, byłam osobą o bardzo różnych nastrojach – cicha i spokojna, dzika i niszczycielska, wreszcie zupełnie nieprzewidywalna. Moje wycofywanie się w głąb siebie sprawiło, że zaczęto posyłać mnie na spotkania z pracownikami opieki społecznej. Bacznie obserwowana, siedziałam tam, słuchając, jak ich słowa, docierając do moich nic nie słyszących uszu, układają się w jakiś irytujący ciąg dźwięków. Z tych spotkań zapamiętałam tylko początek: „Wejdź, Donno; chcielibyśmy, żebyś poznała..." Wyglądało to tak samo, jak moje płyty, kiedy byłam mała: „A oto oryginalna długogrająca płyta... Zaczniemy teraz lekturę historii... Możesz czytać razem ze mną w swojej książce... Kiedy Tinker Bell zadzwoni swoim dzwoneczkiem, możesz odwrócić stronę... Zaczynamy..." Nie sądzę, żebym była wtedy pomylona, Jednak dystans, jaki stwarzałam, uniemożliwiał nawiązanie ze mną jakiegokolwiek kontaktu.

Byłam sobą. Kiedy, siedząc w klasie, wpatrywałam się w nicość, traciłam poczucie wszystkiego wokół. To była lekcja czytania. W ręku trzymałam pióro i wpatrywałam się w kawałek zielonej kredy, leżącej przy tablicy.

Malowałam właśnie jaskrawą farbą zeszyt, którego okładki porwałam w strzępy. Patrząc przed siebie, posuwałam mechanicznie ręką w przód i w tył.

W głosie nauczyciela wyczułam nutę współczucia. Wpadłam w panikę, myśląc, że jestem chora.

Kiedy podniesiono mnie z krzesła, chwyciłam za mój zeszyt i zobaczyłam, że jest prawie przecięty na pół i poplamiony niebieskim atramentem, podobnie zresztą, jak moja głowa. Stalówka pióra była prawie wyłamana, a wszystko wokół wysmarowane na niebiesko.

Zaprowadzono mnie do zastępcy dyrektora i posadzono na krześle. „Jak masz na imię?" – usłyszałam głos, jak na przesłuchaniu. „Gdzie mieszkasz?" Odpowiadałam mechanicznie, podając dane, których mnie nauczono. „Jak masz na imię? Gdzie mieszkasz? Jak masz na imię? Gdzie mieszkasz? Jak masz na imię? Gdzie mieszkasz?" słyszałam to napierające na mnie echo. Odpowiadałam na każde pytanie, coraz szybciej i szybciej, coraz bardziej natężając głos, aż wreszcie zerwałam się na równe nogi i, chwytając krzesło, na którym siedziałam, krzyknęłam: „Nie jestem wariatką!"

„Już dobrze, Donno." – dobiegł mnie głos. „Chodź ze mną, proszę." – powiedział łagodnie. Zaprowadzono mnie do biura i wręczono kartkę papieru, na którym mogłam rysować.

W tej szkole dobrze mnie traktowano. Nie musiałam nawet odrabiać lekcji. Było to dla mnie wygodne. Kiedy zachowywałam się rzeczywiście nieznośnie, odprowadzano mnie do gabinetu i obserwowano. Zazwyczaj dostawałam kartkę papieru i rysowałam.

Lubiłam lekcje rysunków. Zaczęłam bawić się w taki sposób, jak gdyby cała klasa była szufladą z zabawkami.

W stanie jakiegoś zauroczenia skakałam z ławki na ławkę, wymachując nad głową krzesłem, i śpiewałam, najpierw wolno, a potem coraz szybciej, piosenkę „Jadę do Rio." Najpierw robiłam to w rytmie wolnym, a później w szybkim. Wszyscy w klasie siedzieli jak na tureckim kazaniu. Byli zafascynowani moimi wyczynami. Ale mnie niewiele to obchodziło. Było to tak, jak gdyby znajdowali się w innym świecie i obserwowali przez szybę radość mojej zabawy.

Stella należała do dziewcząt, które również na mnie patrzyły. Była Włoszką z czupryną ufarbowanych na biało włosów przypominających watę i twarzą jak z filmu rysunkowego. Ona również sprawiała problemy wychowawcze, toteż niewiele się namyślając, przyłączyła się do mojej zabawy. Tańczyłyśmy razem, przesuwając się wzdłuż całej klasy. Pozostali uczniowie byli coraz bardziej podnieceni, a my ze Stellą zostałyśmy przyjaciółkami. Intrygowało ją we mnie moje „szaleństwo". Imponowało jej, że nigdy nie przejmuję się tym, co inni o mnie myślą i że zawsze walczę o swoje. Dzięki mnie miała wspaniałe usprawiedliwienie dla swoich wybryków. Prawdę mówiąc wciągała mnie na złą ścieżkę i robiłam z nią rzeczy, na które sama pewnie bym się nie zdecydowała.

Organizowałam sobie moje własne lekcje. Często wychodziłam ze szkoły i szłam sobie na spacer.

Każde kolejne doświadczenie przecierało drogę w poszukiwaniu nowych przygód. Stella chodziła czasami ze mną. Nie miałam zwyczaju chodzić w jakieś konkretne miejsce; po prostu szłam przed siebie. Chodziłam po schodach wieżowców, bawiłam się windą albo usiłowałam dostać się na dach w nadziei, że uda mi się skoczyć i „pofrunąć". Niekiedy docierałam do fabryk, oglądałam rzeczy, jakie się tam znajdowały, i pytałam ludzi, co produkują. Bawiłam się w myjniach samochodowych, chodziłam wzdłuż torów kolejowych, jeździłam uczepiona podestu tramwajowego i chodziłam na lekcje do innych szkół. Kiedy ktoś się do mnie zbliżał lub czegoś chciał, uciekałam. Myślę, że w ten sposób wiele się nauczyłam.

Tymczasem moi nauczyciele często jeździli za mną samochodem, ufając, że gdzieś mnie odnajdą i z powrotem przywiozą do szkoły. Nie zachowywałam się jednak źle; kiedy mnie odnaleźli i kazali iść ze sobą, nie oponowałam.

W domu byłam cicha, zamyślona i spięta. Podchodziłam blisko do twarzy domowników, i wysuwając się do przodu, robiłam rękami takie ruchy, jak gdybym rysowała ósemkę. Plask! Za każdym razem dostawałam po twarzy, a moją odpowiedzią był uśmiech. Moja zabawa z matką była szczególnie ostra. Chciałam sprawdzić, na ile potrafię ją kontrolować. Ona z kolei chciała mi pokazać, że nie będzie tolerowała „pomylonej" córki. W końcu stało się jasne, że chce grać o najwyższą stawkę. Uznałam, że ta moja obsesja nie była warta takiej ceny.

Żyłam na tyle całościowo, na ile pozwalał mój umysł. To, co chciałam wyrazić, wyrażałam w sposób symboliczny i niejasny. Postanowiłam zamordować część siebie. W miarę jak narastał gniew, moja wewnętrzna część uosabiająca matkę zaczęła w sposób niepokojący oddzielać mnie od mojego wewnętrznego ja. Postanowiłam zabić Williego.

Dostałam niedużą lalkę-chłopca w dżinsach i koszuli. Owinęłam ją kawałkiem czerwonego pledu – materiałem często noszonym przez moją babkę. Pomalowałam mu zieloną kredką świecową oczy, które nabrały przez to bardzo jaskrawego odcienia.

Znalazłam tekturowe pudełko i pomalowałam je na czarno. Zaczekałam, aż wszyscy wyszli z domu, a następnie skierowałam się w stronę stawu rybnego i, uważając, żeby nie pozostawić po sobie żadnych śladów, pochowałam Williego. Po powrocie do domu napisałam na jego cześć epitafium: *Idź już, powiadam, mój ty we łzach skąpany przybyszu... Zatonąłeś, gdy nad tobą tyle nieznanych ci snów i tyle gwiazd hen wysoko. Idź już, powiadam. Teraz ja przejmuję stery... giń w odmętach przeszłości, abym ja mogła wierną kroczyć drogą.*

Patrząc na to z perspektywy lat, dochodzę do wniosku, że całe to wydarzenie nie było powrotem do nicości, którego szukałam. Było ono wyrazem mojego pragnienia, aby pokonać wewnętrzny konflikt, który był powodem, dla którego tak bardzo potrzebowałam świata nicości. Od samego początku przyczyną tego konfliktu była potrzeba nie kontrolowania się i nawiązania stosunków z innymi ludźmi. Im bardziej starałam się go przezwyciężyć, tym bardziej narastał na sile. Im bardziej byłam skryta i nie dopuszczałam do siebie ludzi, tym jaśniej postrzegałam rzeczywistość.

Jak zwykle moja chęć nawiązywania stosunków z innymi ludźmi miała być świadectwem dobrego zdrowia psychicznego i mogła zapobiec zamknięciu mnie w zakładzie. Moja niemoc do zachowania tego stanu przez dłuższy czas wynikała ze stanu mojego umysłu, którym rozumiałam „mój świat". W tym hipnotycznym stanie potrafiłam dojść do głębi najprostszych przedmiotów; wszystko było zredukowane do kolorów, rytmu i wrażeń. Ten stan mego umysłu napawał mnie rozkoszą, której nigdzie indziej nie mogłabym znaleźć.

głam, swoje odbicie w lustrze i, jak niegdyś, zaczęłam rozmawiać z Carol. Rozpłakałam się i jedno wiedziałam na pewno – nie chciałam już dłużej mieszkać w tym mieszkaniu. W stanie jakiegoś zamroczenia zaczęłam ciąć sobie nadgarstki, stojąc na wprost lustra.

Nie mogłam już znieść widoku mojej twarzy w lustrze. To nie była Carol. Wpadłam w panikę.

Przed lustrem stał Willie, myśląc, że jeśli umrę, ludzie odnajdą mnie w stroju małej, ładnej dziewczynki. Zdjęłam sukienkę i założyłam starą bluzę. Już jako Willie wyrwałam kartkę papieru, nieporadnie owinęłam sobie ranę i zasnęłam.

Kiedy się zbudziłam, nie miałam wątpliwości, że potrzebuję pomocy. Carol nie miała zamiaru nikomu mówić o tym, co się stało, ale nie mogła patrzeć na bałagan, jaki panował w mieszkaniu. Była szósta rano. Założyłam dżinsy i udałam się do mojej przyjaciółki – Robyn.

Drzwi otworzyła jej mama.

– Cześć, kotku – powiedziała – Co się stało?

– Nic – powiedziała Carol, śmiejąc się beztrosko – Pomyślałam sobie, że wpadnę z wizytą.

Carol usiadła w kuchni przy stole, podczas gdy matka Robyn przygotowywała mi tradycyjną filiżankę herbaty. Kiedy na mojej bluzie zaczęły pojawiać się plamy krwi, spojrzała na mnie wstrząśnięta i powiedziała „Coś ty zrobiła?" Ponieważ wiedziała, że ucieknę, jeśli wpadnie w panikę, zapytała mnie delikatnie, czy może obejrzeć moje ręce. Carol zgodziła się na to, mówiąc, że przytrafił się jej drobny wypadek. Matka Robyn wyjaśniła, że te „zadrapania" mogą stać się przyczyną infekcji, i że należałoby udać się do szpitala. Carol zgodziła się, żeby Robyn mnie tam zabrała. Wszyscy byli spokojni, chłodni i opanowani. Podeszła do mnie pielęgniarka i coś powiedziała. Lekarze zrobili mi badanie krwi. Podano mi posiłek i dużo picia. Kiedy powiedziałam im, że już dobrze się czuję, odpowiedzieli, że będę musiała jeszcze trochę zostać. Wysłano mnie do psychiatry.

Nie bałam się Mary – mojego psychiatry. Sprawiała wrażenie silnej, ale i delikatnej osoby, która nie dziwiła się zbytnio odpowiedziom, jakich jej udzielałam. Spytała mnie, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam. Powiedziałam, że tak się stało, ponieważ „na świecie nie było już miłości".

Usiadła naprzeciwko Williego i powiedziała mu, że według niej nie jestem tak silna, jak mi się zdaje, i że jest we mnie mała, przestraszona dziewczynka, która chce się wydostać na zewnątrz. Zastanawiałam się, czy zdawała sobie sprawę, ile prawdy było w jej słowach. Willie przez rok jeszcze myślał nad tym, co powiedziała.

Wróciłam do mojego mieszkania i pracy i, tak jak dawniej, co wieczór schodziłam do telefonu. Przed wejściem do sklepu, na paczce, siedział wysoki, kościsty mężczyzna. Było to jego ulubione miejsce. Razem z kolegą bacznie mi się przypatrywali.

– Cześć, co słychać, no jak tam żyjesz? Taak... taak... – mówiłam przez telefon.

– Cześć – powiedział młody mężczyzna, kiedy odwiesiłam słuchawkę i przeszłam koło niego, nie zatrzymując na nim wzroku. – Czy nigdy się do mnie nie odezwiesz? – nalegał.

Do rozmowy wtrącił się jego przyjaciel, pytając, czy nie mogłabym zaprosić jego kolegi, Chrisa, na kawę.

– Nie mam kawy – powiedziałam.

– Nic nie szkodzi – powiedział jego przyjaciel – Może być herbata.

Zgodziłam się na tę propozycję.

Chris miał wpaść do mnie na herbatę.

Ruszyłam w stronę mojego mieszkania, prawie zapominając, że Chris idzie za mną. Rozgościł się na kanapie za piętnaście dolarów, którą kupiłam od Armii Zbawienia.

– Nie mam herbaty – wyjaśniłam.

– Nic nie szkodzi – powiedział Chris – Zostanę, żeby z tobą porozmawiać. – I rzeczywiście ze mną rozmawiał.

Chris był Włochem i mieszkał za rogiem. Kiedy pytająco spojrzał na bandaże na moich przegubach, odpowiedziałam, że wykręciłam je sobie, próbując stanąć na rękach. Nie uwierzył w to. Opowiedziałam mu wtedy o zdarzeniu z trzema chłopcami, które doprowadziło do „wypadku". Okazało się, że chłopak, który załatwił się na drzwi wejściowe, był młodszym bratem Chrisa.

Przenoszę się z miejsca na miejsce pełne ludzi bez twarzy,
Szukając miejsca, które nazwać mogę domem.
Już tak zawsze będę naprzód szła,
Próbując znaleźć coś, co będzie tylko moje.
Nie udało mi się na razie i zatrzymałam się po drodze,
Nie wiedząc nawet, kim byłam.
Patrzę w lustro, widzę twarz...
„Nie wiem, czyją. Kim ja jestem?"

Dałam Chrisowi klucz do mojego mieszkania. Zrobił z niego dobry użytek: urządzał przyjęcia i zaczął o nim mówić „moje mieszkanie". Czułam się tam obco. Obserwowałam, jak Chris bezlitośnie zaznajamia mnie ze światem, odgrywając rolę playboya.

W rurach kanalizacyjnych doszło do jakiejś awarii i zalało mi całe mieszkanie. Stałam w nim i wrzeszczałam. Właściciel powiedział tylko „Nie ma się czym przejmować. Zaraz wszystko posprzątamy." Pracownik agencji wynajmu stwierdził, że w takich warunkach nawet pies nie powinien mieszkać. Znalazł mi nowe, ale droższe mieszkanie.

Do wolnego pokoju wprowadził się Peter – przyjaciel Chrisa. Nauczył mnie gotować i prasować. Ponieważ był potężnym mężczyzną, miał zwyczaj rzucać mnie w górę i łapać. Czasami, śmiejąc się, spadałam na ziemię; wtedy Peter łaskotał mnie i szybko przywracał mi siły.

Życie płynęło szybko, a ja dotrzymywałam mu kroku. W niedługi czas potem wyprowadziłam się z tego mieszkania i Peter pozostał już tylko niejasnym wspomnieniem. Wypowiadałam słowa, podejmowałam jakieś działania, ale mnie w tym wszystkim nie było.

Przeprowadzałam się co dwa miesiące, a kiedy zatrzymałam się gdzieś na dłużej, zmieniałam pracę. Kiedy na łóżku pojawiały się kartonowe pudła, Chris już wiedział, że czas na kolejną wyprowadzkę.

Czas wolny poświęcałam oglądaniu nowych mieszkań, ale nigdy nie wyprowadzałam się poza obręb dzielnicy. Traciłam majątek na wpłacaniu zaliczek, ale gdy tylko minęły dwa miesiące, które zdawały się trwać dwa lata, czułam, że już czas na zmianę.

Uosabiając się z Carol i będąc zupełnie odcięta od mojego prawdziwego ja i emocji, jakie we mnie tkwiły, byłam przerażona, że zostanę sama. Bałam się, że moje prawdziwe ja, błąkające się jak duch gdzieś w zakamarkach mej duszy, zaczeka, aż Carol będzie sama, aż życie zwolni tempo, a wtedy ją dopadnie.

Rolę Carol odgrywałam z takim przekonaniem, że nawet nie przyznawałam się do tego, że strach ten wynikał z mojej obawy utraty kontroli nad tą postacią. Tak zawzięcie wcielałam się w Carol, że wreszcie stała się ona moim ja. Mój młodszy brat przyjechał do mnie z wizytą. Ale Carol nie miała brata, który nazywał się Tom.

Powiedz, czy mnie pamiętasz? Czy jestem na swoim miejscu?
Bo widzisz, rozglądałam się wokół,
Żeby znaleźć w tłumie znajomą twarz.
Czy masz czas, żeby się ze mną zaprzyjaźnić?
Czy chciałbyś lepiej poznać moją twarz?
Moglibyśmy zacząć od niej.
Jest tak samo dobra, jak inne miejsca.

Tom przyszedł pod drzwi mojego mieszkania. Carol otworzyła mu je i zaczęła przyglądać się dziesięcioletniemu chłopcu, stojącemu w progu. Tom już prawie rok mnie nie widział i prawdopodobnie kojarzyłam mu się z Donną, która opowiadała mu o swoim świecie, kiedy miał trzy lata. Dziewczyna, która otworzyła drzwi, zostawiła Toma i wszystko inne w swoim życiu, ponieważ nie potrafiła poradzić sobie z nadmiarem bliskości.

– Cześć, siostrzyczko – powiedział Tom, stojąc w progu przed górującą nad nim dziewczyną.

– Cześć. Po co przyszedłeś? – zapytała siedemnastoletnia dziewczyna, nie spuszczając z niego wzroku.

– Przyjechałem razem z mamą. Czeka przed domem. Chcesz się z nią zobaczyć?

– Nie – odparła lekceważąco dziewczyna – Wejdź, proszę.

– Nie mogę – powiedział Tom – Mama chciała, żebyś się z nią zobaczyła.

– Hm, powiedz jej, że nie mogę – powiedziała niedbale dziewczyna – Pewnie lepiej będzie, jeśli już sobie pójdziesz.

Tom odszedł. Nie pokazywał się przez kolejne dwa lata.

Wprowadził się Chris, któremu podobało się nowe mieszkanie. Carol przyniosła tekturowe pudła, ale Chris nie chciał się z nią wyprowadzać. Carol znajdowała się teraz na trapezie, który bezlitośnie się bujał. Na scenę wkroczył starszy brat Donny, James, zanim Carol pojawiła się na niej po raz ostatni.

Starszy brat nigdy nie lubił Donny. Trudno było ją zrozumieć, a to, co mówiła, nie miało większego sensu. Jednak i on musiał radzić sobie z problemami dorastania; zbyt poważny jak na swój wiek, dojrzewał w samotności. Zapominając o dawnych urazach, uznał, że nawiązanie bliższego kontaktu ze swoją siostrą może być opłacalne. Przywitała go Carol.

Usiadł na kanapie i rozmawiał z uroczą i ujmującą osobą, która udawała jego siostrę. Przestawiłam się na „automatycznego pilota", obserwując siebie samą spoza mojego ciała. Szczerze i otwarcie rozmawiałam z moim bratem, którego nigdy nie pragnęłam zbyt blisko poznać.

Zdawało mu się, że znalazł wspaniałego przyjaciela. Na szczęście jego siostra się zmieniła. Dziewczyna nie obrzucała go spragnionym zrozumienia wzrokiem. Rozmawiała swobodnie i ze swadą, a w jej głosie nie wyczuwało się braku zaufania i lęku, jaki pamiętał u swojej siostry. Polubił ją i postanowił, że będzie ją częściej odwiedzać.

Wyglądało to tak, jakbym oglądała przedstawienie, w którym byłam jednocześnie aktorem i widzem. Po jakimś czasie jednak Carol zaczęła tracić swą pewność siebie i coraz trudniej było jej rozmawiać. Donna wróciła do swojego „poetyzowania".

Brat znowu nazwał mnie „stukniętą" i mówił, żebym przestała „się zgrywać". Czułam, że robi mi się zimno, jak po przebudzeniu z jakiegoś koszmaru. Znowu mówił mi, że jestem szalona, głupia i nienormalna. Patrzyłam na niego, zastanawiając się, jak do tego doszło, że tak dobrze czuje się w moim mieszkaniu. W końcu dotarło do niego, że zmiana, jaka we mnie zaszła, nie wynikała tylko ze zmiany nastroju. Wróciłam do stanu, w jakim znajdowałam się przed laty. Mój brat miał lepsze rzeczy albo roboty niż spędzanie czasu ze swoją „zwariowaną" siostrą, która odrzucała albo ignorowała jego osobę. Pojawił się u mnie dopiero po dwóch latach, kiedy stosunki między nami były, jak zwykle, wrogie.

Donna była duchem; duchem, który wrócił. Jednak ludzie spodziewali się po mnie Carol. A Carol postanowiła walczyć.

Zaczynałam mieć lęk przed wyjściem z domu w miejsca pubkiczne. Próbowałam chodzić do pobliskich sklepów. Miałam dreszcze i czułam, jak uginają się pode mną kolana. Znowu byłam przestraszona, jak uwięzione w klatce zwierzę. Traktowałam Chrisa jak jedyną osobę dorosłą, która może mnie ochronić przed zagrożeniem, płynącym ze świata zewnętrznego.

Stałam się niezdolna do pracy i rezygnowałam z wielu zajęć, nie podając żadnych wyjaśnień. Trzęsłam się cała i czułam, jak gdybym za chwilę miała zemdleć. Patrzyłam, przerażona, na najbliższe otoczenie, próbując zrozumieć, gdzie i dlaczego tu jestem. Carol wypadała bardzo dobrze podczas rozmów dotyczących nowej pracy, ale Donna już po kilku tygodniach szukała nowego zajęcia.

Zrobił mi się tik nerwowy. Gdy tylko ktoś poruszył jakiś ważny dla mnie emocjonalnie temat, dostawałam fioletowej wysypki na policzkach, szyi i połowie twarzy.

Chris nie mógł tego dłużej znosić i znikał z domu prawie każdego wieczoru. Pewnego dnia oznajmił, że wyjeżdża na weekend.

Wpadłam w panikę. Odejście Chrisa kojarzyło mi się z takim samym opuszczeniem, jakiego doznałam po śmierci dziadka, kiedy miałam pięć lat. Musiałam jednak zmusić moją załzawioną twarz do wesołego uśmiechu i pomachać Chrisowi na pożegnanie, ponieważ tak zrobiłaby Carol, do której Chris tak się przyzwyczaił. Nie byłam chyba przekonująca. Carol była już nastolatką, podczas gdy Donna miała ciągle dwa lata.

Siedziałam sama w mieszkaniu, opuszczona i przerażona. Bardzo brakowało mi teraz matki, ale nie mogłam sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek ją miałam. Potrzebowałam jednak matki, która byłaby taka sama, jak moje wyobrażenie o niej; w przeciwnym bowiem razie musiałabym uciec. Tęskniłam za domem, którego nigdy nie miałam, ponieważ nigdy nie potrafiłam się do niego zbliżyć.

Chris pojawił się w moim życiu za sprawą Carol. Chichocząca, posłuszna i lubiąca towarzystwo Carol była tym, czego potrzebował. A jednak opuścił Donnę, jak gdyby była mu zupełnie obca. Pamiętam słowa innej zupełnie obcej mi osoby, które brzmiały mi w głowie od czasu spotkania jej rok wcześniej. Poszłam na ostry dyżur do szpitala, mówiąc, że chcę się widzieć z Mary. Psychiatrą, która dostrzegła we mnie malutką, wystraszoną dziewczynkę, próbującą się wydostać na zewnątrz.

Wezwano mnie do malutkiego pokoju, gdzie dość obcesowy sanitariusz poinformował mnie, że nie mogę zobaczyć się z Mary. Stwierdził również, że jestem nieco poruszona, ale że za chwilę poczuję się lepiej.

Mogłam liczyć tylko na siłę słów, w czym pomógł mi Willie ze swoim złośliwym i bezpośrednim językiem. Jego oczy rozglądały się uważnie po pokoju w poszukiwaniu rzeczy, którymi można by ewentualnie rzucać. Ostro odezwał się do niczego nie podejrzewającego sanitariusza „Co mam zrobić? Rozwalić ten pokój, pociąć się i obryzgać krwią ściany?" Sanitariusz załatwił mi wizytę u Mary.

Mary i Willie usiedli w gabinecie po przeciwnej stronie stołu. Usiłowałam zniszczyć maskę postaci, którą nosiłam, która teraz desperacko próbowała bronić mnie, a jednocześnie zataić, że celem mojej wizyty jest prośba o pomoc.

Willie w sposób spokojny i opanowany wyjaśnił istotę problemu. Chodziło o to, że nie ufałam Chrisowi, kiedy nie było go w domu, i mój brak zaufania uderzał w bezpieczeństwo naszego związku. Mary chciała mnie wybadać i zapytała, czy jestem osobą, której można zaufać, a potem poprosiła, żebym opowiedziała jej o mojej rodzinie.

Czułam, jak dostaję wysypki. Fizycznemu doznaniu towarzyszyło równie przykre doświadczenie emocjonalne. „Jaki to ma związek z czymkolwiek?" Willie raczej w obronnym geście zadał to pytanie, chwytając się każdej sposobności, żeby uchronić mnie przed porażką. Tracił czas, obmyślając nową strategię działania. Mary wyjaśniła, że miało to duży związek z rzeczami i jeszcze raz zapytała o moją rodzinę. Willie przedstawiał sytuację w rodzinie tak chłodno, jak gdyby opowiadał jakiś film albo mecz.

Mary wyszła z pokoju. Wpadłam w panikę. Kiedy wróciła, byłam już cała zapłakana. Zaproponowała, żebyśmy ponownie się spotkały następnego dnia.

To była niedziela. Został mi już tylko jeden dzień, żeby dojść ze sobą do ładu. Potem świat w postaci Chrisa miał stanąć przed moimi drzwiami.

W drodze do szpitala w sklepie na końcu ulicy kupiłam truskawki. Weszłam do poczekalni, skąd miano wezwać mnie do gabinetu. Poproszono Donnę. Do środka weszła Carol, trzymając w ręku torbę z truskawkami.

Carol zawsze szła na pierwszy ogień, żeby sprawdzić grunt. Jeśli Donna uznała, że jest bezpiecznie, posuwała się za nią. Razem z Mary jadłyśmy truskawki. Zapewne widać było, że bardzo zależy mi na tym, aby Mary spróbowała moich truskawek. Zaczynałam się znowu bać.

„Nie jestem szalona, wiesz przecież o tym." – powiedziała Carol w nadziei, że Mary się z tym zgodzi. Zawsze mnie uspokajała, mówiąc, żebym się tak bardzo tym nie przejmowała.

„Nie zamkną mnie w żadnym zakładzie, prawda?" – zapytała Carol, w której odżyły wspomnienia związane z domem dziecka.

„Nie bój się, nigdzie cię nie zamkną." – odpowiedziała Mary.

Kiedy nie mogłam już dłużej ukrywać strachu, zaczęłam płakać jak dziecko.

Uzgodniłyśmy, że w najbliższym czasie będę widywać się z Mary dwa razy w tygodniu. Ten czas przeciągnął się jednak w lata. Mary miała największy wpływ na stan mojego umysłu od czasu, jak czternaście lat wcześniej spotkałam nieznajomą o imieniu Carol.

Dorosły w pułapce dziecięcego strachu.
Dorosły, a przecież czegoś mu brakuje.
Otworzyć oczy ku światłu nieznanemu
I słyszeć głosy ludzi.
W nowy sposób, bez cienia strachu
Wyrazić wdzięczność własnymi słowami.
Darem jest poczucie bezpieczeństwa
Tak długo wyglądane.
Cóż piękniejszego nad podarowanie komuś własnego ja?

Mary pytała mnie, czego oczekuję po tych wizytach. Powiedziałam jej: „Chcę po prostu być normalna." Nigdy wprawdzie nie zastanawiałam się nad pojęciem normalności, ale czułam, że od stanu, jaki ono opisuje, dosyć wyraźnie odbiegam.

Prawie zawsze siedziałyśmy w tym samym gabinecie. Jego okna wychodziły na ulicę i znajdujący się za nią park. Kiedy była noc, wpatrywałam się w światła miasta i czasami czułam się, jak w jednym z moich snów – posuwałam się ku światłu w zupełnie czarnej przestrzeni.

Ten gabinet odzwierciedlał mój dylemat. Byłam uwięziona w małym, świetlistym pokoju, gdy tymczasem resztę świata, stanowiącą kuszące, ale niedostępne światło, oddzielała ciemna i złowroga przestrzeń. Mary miała pomóc mi w dostaniu się tam. W domu przez cały czas rysowałam obrazki, które przedstawiały moją sytuację. Mały, biały kwadrat umieszczałam w dużym i czarnym kwadracie, który z kolei otoczony był ze wszystkich stron białą, nie zamalowaną powierzchnią kartki.

Niedawno znowu zobaczyłam taki obrazek. Namalowała go mała, autystyczna dziewczynka, a jej praca została opublikowana w książce na temat psychoanalizy. Interpretacja tego rysunku sprowadzała się do stwierdzenia, że wyraża on tęsknotę dziewczynki do kobiecej piersi. Kiedy po pewnym czasie dziewczynka namalowała dwa białe kwadraty na ciemnym tle, zinterpretowano to jako tęsknotę do dwóch piersi. A kiedy umieściła czarny kwadrat w środku białej kartki, uznano, że chce w ten sposób wyrazić opozycję między „złą" a „dobrą" piersią.

Śmiałam się do łez, kiedy o tym czytałam. Bez przerwy rysowałam identyczne rysunki, a obok umieszczałam napis: „Zabierzcie mnie stąd wreszcie." Było to symboliczne przedstawienie mojej pułapki, której przyczyna tkwiła w infantylnym charakterze moich nierozwiniętych uczuć. Czarna przestrzeń, przez którą musiałam przejść, oddzielała „mój świat" od „prawdziwego świata" i nigdy nie potrafiłam jej pokonać za jednym zamachem. Bałam się, że utracę jakąkolwiek łączność z emocjonalną częścią mnie samej, co zresztą miało miejsce wtedy, kiedy decydowałam się na to przejście. Był to zresztą jedyny sposób, kiedy możliwe było jakieś porozumie-

nie. Wyjawianie tego sekretu innym było zbyt niebezpieczne. Ludzie, którzy być może szczerze chcieliby mi pomóc, bezlitośnie przeciągaliby mnie przez tę strefę mroku, niszcząc przy okazji emocjonalną stronę mojej osobowości. Wysiłki, które podejmowałam w tym celu sprawiły, że z psychicznego punktu widzenia wielokrotnie umierałam. W rezultacie tego moja dusza była głęboko popękana.

Przychodnia psychiatryczna była szara i monotonna. W jakiś szczególny sposób jednak dodawało mi to otuchy. Wyglądała ona jak olbrzymie, puste pomieszczenie, mieszczące w sobie inne, mniejsze pomieszczenia, rozlokowane wzdłuż korytarzy. W gabinecie Mary znajdowały się dwa krzesła, biurko, a na ścianie wisiał obrazek. Był bezbarwny i nieokreślony: jeden z tych, które mają ukoić pacjenta. Pamiętam, że patrzyłam na ten obrazek, nie znajdując w nim niczego, co w jakiś sposób przykułoby moją uwagę. Nawet jego mdłe, pastelowe kolory mieszały się w jedno, w rezultacie czego z całego obrazka zapamiętywało się jedynie ramkę. Przypominał on nieco budzący się ranek. A mimo to podczas naszych spotkań wolałam patrzeć na obrazek niż na toczące się w dole burzliwe życie, które przypominało mi tylko o moim braku normalności. Intrygowały mnie również notatki, jakie robiła Mary.

– Nie piszesz niczego na mój temat, prawda? – pytałam niespokojnie, kiedy Mary pokrywała kartkę niewyraźnym pismem. – Nie zamkną mnie w zakładzie, prawda? – powtarzałam w kółko.

Mary doskonale wiedziała, jak się zachować. Najpierw wchodziłyśmy do gabinetu. Mary siadała na swoim krześle, nie odzywając się ani słowem, a ja robiłam dokładnie to samo, co ona, aż wreszcie cisza, panująca w pokoju, była już nie do wytrzymania. Wtedy wypowiadałam mnóstwo zdań, które w zamyśle miały być pytaniami. Ona odzwierciedlała to, i wszystkie moje obawy, odbijając się od niej, wracały do mnie.

Mówiłam o sobie. Posługując się chłodnym i precyzyjnym językiem, opowiadałam najbardziej wstrząsające przeżycia z mojego życia, nie angażując w to w ogóle emocji. To było całkiem proste. Niewiele z tego, co mi się przytrafiało, zrobiło na mnie jakieś wrażenie. Nawet jeśli coś przytrafiło się mojemu ciału, wyglądało to tak, jak gdyby moje ciało było zwykłym przedmiotem, istniejącym w świecie albo murem, który oddzielał „mój świat" wewnętrzny od „świata" zewnętrznego.

Nic więc dziwnego, że kiedy opowiadałam o różnych zdarzeniach, mówiłam o sobie „ty". Używałam zaimka drugiej osoby, ponieważ „ty" w sposób logiczny określało mój stosunek do siebie samej. „Ja" powstaje dopiero w kontaktach ze „światem". A Donna takich kontaktów nie miała; miały je tylko postacie, w które się wcielała. Mary chciała, żebym jej wyjaśniła, komu przytrafiły się opisywane przeze mnie wypadki. Używanie bowiem przeze mnie zaimka „ty" wskazywałoby, że chodzi tu o Mary. Próbowałam jej powiedzieć, że w ten sposób właśnie opisuję rzeczy. Ona jednak cią-

gle mnie zachęcała do osobowego sposobu mówinia. Żeby więc uniknąć nieścisłości znaczeniowych, zgodziłam się na użycie zaimka „ja". Mary przeoczyła jednak fakt, że, mówiąc o sobie „ty", lepiej wyrażałam mój bezosobowy sposób doświadczania zdarzeń. Myślę, że Mary postawiła sobie za zadanie, aby pomóc mi w przezwyciężeniu depersonalizacji, ponieważ myślała zapewne, że jest on wynikiem niedawno powstałej reakcji obronnej. Nie domyślała się, że taki sposób postrzegania rzeczywistości trwał we mnie od trzynastu lat, to znaczy od chwili, kiedy stworzyłam postacie Williego i Carol.

Co jakiś czas Mary wywoływała we mnie reakcję, której, obiektywnie rzecz biorąc, nie doświadczałam; był to strach przed zamknięciem, strach przed odrzuceniem, poczuciem beznadziejności, opuszczeniem. Obawy te powstawały przy okazji rozmów o rzeczach, które mile wspominalam: o dziadkach, o ojcu, kiedy byłam jeszcze mała, i o moim młodszym bracie do czasu, kiedy osiągnął wiek trzech lat. Te obawy jednak nie byly przyczyną moich problemów, lecz wynikiem wysiłków, jakie podejmowałam w celu zbliżenia się do „świata" i uczestniczeniu w nim. Nie przypominam sobie, abym z ich powodu kiedykolwiek zamykała się w sobie. A to zdarzało mi się nawet wtedy, kiedy byłam z nieliczną grupą tych ludzi, których łaskawie wpuściłam do „mojego świata". Moje wycofywanie się było najczęściej odpowiedzią na zjawiska, które w jakiś sposób odnosiły się do najsubtelniejszych z moich uczuć. Ze złymi uczuciami bowiem nie miałam żadnych kłopotów. Zajmował się nimi Willie i robił to bardzo dobrze. Na złe uczucia nie było miejsca w „moim świecie".

Mary zauważyła, że poświęcam dużo energii utrzymywaniu nad sobą kontroli. Chciałam, żeby mnie upewniła, że mogę jednocześnie panować nad sobą i starać się dotrzeć do świata. Próbowałam się do niej zbliżyć w nadziei, że dzięki temu ona zbliży się do mnie. Mary chciała mi powiedzieć, że to będzie możliwe tylko na jej warunkach. Nie uświadamiała sobie, że, postępując w ten sposób, daje mi do zrozumienia, że moje próby zbliżenia się do niej nie są wystarczająco dobre. Wydawało się, że rzuca mi wyzwanie uczestniczenia w relacji na jej poziomie. Ale, żeby to zrobić, musiałam odizolować się od moich emocji. Obie waliłyśmy głową w mur.

Postanowiłam, że pomogę jej zbliżyć się do mnie. Pomyślałam, że wyjawię kilka moich tajemnic, które stanowiły solidną podstawę „mojego świata". Przypominało to nieco sytuację ze spotkania państw dyskutujących o rozbrojeniu. Mary z racji swego zawodu, który zabraniał jej zbytniego otwarcia na pacjenta, nie podeszla zbyt entuzjastycznie do mojej propozycji. Wyraziła się w ten sposób: „To ty przyszłaś do mnie, a nie ja do ciebie." Myślę, że Mary powiedziała to w interesie nas obu. Z jednej strony nie chciała, żebym stała się zbyt od niej zależna albo zniżyła ją do mojego poziomu, a z drugiej wolała uniknąć zbyt osobistych dociekań, jakie często zdarzają się w tego typu terapiach.

Jednak Mary mogła zobaczyć prawdziwy obraz mnie tylko wtedy, kiedy bylam od niej uzależniona. Willie istniał dzięki dystansowi oddzielającemu mnie od świata. Carol mogla dopasować się do wszystkiego. Ale Donna nigdy nie zwróciłaby się ani nie poprosila o pomoc. Ta pomoc musiała być bezwarunkowa i zaofiarowana

w taki sposób, żeby wyciągnąć Donnę z ciemności kuchennej szafki. Carol była czarująca i elokwentna. Willie wyjaśniał, analizował i zachwycał. Donna skrywała się w mroku kuchennej szafki, czekając, aż Mary znajdzie klucz, którym ją otworzy.

Wprawdzie Carol i Willie potrafili w miarę normalnie się zachowywać, to jednak Donna była tej normalności najbliższa. Tylko w niej były uczucia, które funkcjonowały w „jej świecie".

Carol uznała pewnego dnia, że powie o istnieniu Williego. Willie zawsze zbyt poważnie do wszystkiego podchodził: przerywał dobrą zabawę i ustawiał wszystkich w szeregu. Nie wydawało się, żeby Carol różniła się tu od innych, i razem z innymi ginęła w tłumie. Dzięki niej trwało przedstawienie, zaś dzięki Williemu funkcjonował teatr, który był zarządzany niczym więzienie. Urok, uspołecznienie i radość Carol nie mogły współistnieć z bezwzględną krytyką Williego, dotyczącą obrazu, jaki na swój temat wytworzyła sobie Carol. Rozwiązanie dla niej, przynajmniej jeśli chodzi o terapię, było proste: chciała, żeby wróciły stare czasy. Chciała, żeby jej relacje z Chrisem były takie, jak dawniej. Mary, ujęta wprawdzie dziecinną naiwnością Carol, uznała, że jej cele wymagają pewnego rozwinięcia.

– Co jakiś czas bezustannie słyszę w mojej głowie ten głos – powiedziała Carol, mając na myśli Williego, nie wyjawiając jednak, do kogo należał ten głos, ani jak się czuła, kiedy się pojawiał. Mary zapytała, o czym jej mówi. „Mówi mi: Nie mów im; nie uwierzą ci." – powiedziała Carol, badając grunt.

Mary była tym wszystkim zaintrygowana i próbowała odnaleźć ewentualne przyczyny tego zjawiska. Ostatecznie doszła do wniosku, że jest to w jakiś sposób powiązane z tym, co powiedziała kiedyś moja matka.

Nie ma wątpliwości, że tak było. Charakter Williego powstał ze zdolności Donny do mimiki oraz zdolności matki do zmuszania Donny do odpowiedzi. Będąc Williem, powtarzałam słowa. Niezdolny do jakiegokolwiek porozumienia Willie magazynował słowa, które potem traktował jak swoją broń. Ostatecznie jednak w stanie frustracji ta sama broń była użyta przeciwko tej części mnie, z której powstał Willie. Dążąc do niezależności, Willie odrzucał słabość Donny, a więc tę cechę, dla której obrony został powołany do życia. Zarówno Carol, jak i Willie przechodzili różne etapy rozwoju osobowościowego. Proces ten mógł pomóc im w swoistym ucywilizowaniu się, gdyby tak bardzo nie bali się, że zostaną rozpoznani. Strach przed rozpoznaniem był antytezą powstałą w tym samym ciele. Nie można rozłączyć złączonych psychicznie, ale nie pasujących do siebie braci syjamskich. Jedynym rozwiązaniem byłaby ich integracja. Niestety, każda postać miała swoją własną wizję rozwiązania tego problemu.

Mary wypisała mi receptę. Miałam wrażenie, że uznała mnie za schizofreniczkę. Byłam tym oczywiście urażona. Tak bardzo chciałam uwierzyć, że nie jestem wariatką. Tymczasem Mary nieświadomie mnie tak zakwalifikowała.

Moja przyjaciółka Robyn twierdziła, że ludzie wierzą w to, w co chcą uwierzyć. Zachowanie Mary było tego przykładem. Carol brała tabletki nieregularnie, nadużywając ich tak samo, jak i innych lekarstw. Po przyjęciu ośmiu tabletek wypijała lampkę koniaku, po czym wykręcała domowy numer Mary.

Carol traciła świadomość. Czułam, jak ogarnia mnie poczucie beznadziejności, i bałam się, że mogło dojść do jakichś trwałych uszkodzeń w moim organizmie. Jak na ironię losu, dosięgnęło mnie to wtedy, kiedy starano mi się pomóc.

Mary podniosła słuchawkę. Była opanowana i spokojna. Trudno mi było ją zrozumieć. Z opisu Mary wynikało, że gra w szachy ze swoim kotem, który szwenda się po łóżku. Przypomniałam sobie podobną scenę z filmu Shirley Temple. Miałam znowu trzy lata. Mój głos przełączył się na „automatycznego pilota", a moje poczucie siebie przypływało do mnie niczym fale. Wyglądało to tak, jak gdybym co jakiś czas przelatywała przez siebie. Przeżywałam już kiedyś coś podobnego, nie używając zawczasu ani narkotyków, ani alkoholu. Rozmawiając z Mary w takim stanie, byłam bardziej sobą niż kiedykolwiek wcześniej. Być może stało się to za sprawą odległości wymuszonej rozmową telefoniczną.

Mary powiedziała, żebym nie brała już więcej tabletek. Dzięki nim doszłam do wniosku, że moje zaufanie do Mary nie jest na tyle duże, aby wyjawić jej tajemnice, które mogłyby w sposób zasadniczy wyleczyć mnie w mojej choroby. Strategia „swobodnego działania" nie polegała na ponownym przeżywaniu wydarzeń, które miały miejsce w „świecie" wokół mnie, ale na porzuceniu działań obronnych, które chroniły mnie przed skutkami tych wydarzeń. Działania te miały w sobie coś z tajemnic wyrażanych w sposób wysoce symboliczny, ponieważ pojawiały się, zanim jeszcze można było je ująć w słowa.

Mary niewiele wiedziała na temat świata, w którym nie było dotyku, słów ani współdziałania z innymi. Pomagała mi doprowadzić do ładu konstrukcję, którą z trudnością zbudowałam na wadliwych i chwiejnych fundamentach. Miałam dwa lata i tak naprawdę ona nigdy mnie nie zauważyła.

Pracowałam w sklepie położonym niedaleko szpitala. Mój szef, który miał dwie córki mniej więcej w moim wieku, umizgiwał się do mnie. Trudno mi było z kimkolwiek utrzymywać dobre kontakty, a tym bardziej obsługiwać klientów. Ale robiłam, co mogłam, żeby moje sprawy nie wymknęły się spod kontroli. Przywiązałam się do jednego z klientów – starszego mężczyzny, który każdego dnia witał się ze mną. Zaczęłam go traktować jak dziadka.

Możliwe, że moje przywiązanie do osoby dziadka było próbą kontynuacji mojego rozwoju emocjonalnego w miejscu, gdzie kiedyś zostało przerwane. Jednocześnie jednak mój dziadek umarł dla mnie na długo przed tym, kiedy naprawdę opuścił ten świat. Pamiętam, że zawsze wierzyłam, że zarówno dziadek, jak i ojciec umarli, kiedy miałam trzy lata.

Właśnie wtedy obaj przestali być przedmiotami w moim świecie. Ojciec żył jako jeszcze jeden z wielu dorosłych, a dziadek umarł, kiedy miałam pięć lat. Babka zaś przeniosła się do australijskiego buszu.

Potrafię sobie przypomnieć, jak próbowałam z dziadkiem nawiązać kontakt wzrokowy. Było to wtedy, kiedy umarł. Pełna smutku i tęsknoty, stałam przy jego łóżku. Myślę, że mój ówczesny nastrój można porównać do nastroju ducha, który przyszedł wprawdzie z wizytą, ale nie potrafi nawiązać żadnego kontaktu.

Starszy mężczyzna pojawił się w sklepie i przywitał się ze mną. Patrzyłam na niego, ale go nie widziałam, więc pomyślał zapewne, że go zignorowałam. Przyszedł jeszcze raz tego samego dnia i nie zwrócił na mnie uwagi. „Cześć" – powiedziałam, starając się nawiązać jakiś kontakt. Wyszedł ze sklepu, nie mówiąc słowa.

Wpadłam w panikę. Moje ciało było sterowane automatycznym pilotem, a ja traciłam poczucie tego, co się wokół dzieje. Sklep wydawał się teraz bezładną mieszaniną kolorów i dźwięków. Zaczęłam przyglądać się ludziom, z którymi pracowałam; byli mi obcy. Nie wiedziałam, dlaczego tam jestem, i pomyślałam, że muszę wyjść. Chwyciłam torebkę i wybiegłam ze sklepu. Ulica wydawała mi się koszmarna; przesuwające się ściany ludzi, moje stopy otoczone zewsząd stopami innych ludzi. Zaczęłam biec. Rozpychałam się w tłumie, słysząc zagadkowe dźwięki wrzeszczącego miasta. Musiałam dostać się do jakiegoś bezpiecznego miejsca. Do miejsca, które było mi znane. Pomyślałam o Mary. Ona była moją jedyną nadzieją.

Przede mną pojawił się tramwaj. Odepchnęłam na bok ludzi jak przedmioty tarasujące mi drogę, i weszłam do środka. Środkiem tramwaju przechodził jakiś mężczyzna. Powtarzał w kółko słowa, których nie rozumiałam.

– Bardzo proszę o pieniądze – powiedział. Otworzyłam portmonetkę i rzuciłam kilka monet pod jego natarczywe nogi. Podniosłam się i podbiegłam do drzwi, waląc w nie ze złością pięścią. Byłam w pułapce. Nie miałam gdzie pójść, gdzie uciec, gdzie się schować. Zaczęłam histerycznie płakać. Mój krzyk stawał się coraz głośniejszy, aż wreszcie wszystko ucichło. Otworzyły się drzwi.

Wyskoczyłam z tramwaju i przebiegłam przez dwa skrzyżowania, słysząc za sobą pisk opon i rzucane pod moim adresem przekleństwa. Uderzył mnie samochód. Poleciałam do przodu, lądując na masce samochodu.

Byłam oszołomiona niezwykłym blaskiem karoserii. Podparłam się rękami i spojrzałam na dwie postacie po drugiej stronie szyby. Przysunięci do przodu, przyglądali mi się z wyrazem kompletnego zaskoczenia na twarzy.

Rozpoznałam jednego z nich; był jakimś prominentnym politykiem. Zdziwiona swoim odkryciem, wskazałam na niego palcem i wymieniłam jego nazwisko. Wyglądało to jak pierwszy dzień w szkole: nazywanie przedmiotów. W czasie mojego biegu do oddziału psychiatrycznego szpitala był to jedyny moment, kiedy wiedziałam, co się dzieje.

Zapomniałam, jak nazywa się Mary. Zapomniałam, jak dostać się na górę do jej gabinetu. Zapomniałam, jak się mówi.

Przerażona, stałam w recepcji. Próbowałam wymówić jakieś wyrazy, ale wszystko, co się ze mnie wydobywało, miało postać niezrozumiałych, bełkotliwych i oderwanych od siebie dźwięków, które jeszcze bardziej pogarszały mój stan. Zaczęłam płakać, bardzo gwałtownie oddychając.

Patrząc w oczy recepcjonistki i próbując wymówić imię Mary, czułam, że za chwilę utopię się we własnych łzach. Była to duża, jowialna kobieta, która przypominała mi matkę Liny. Była cierpliwa, spokojna i przyjacielska, słuchając, jak próbuję spazmatycznie wymówić jeden dźwięk: „M... Mar... M... Mary". Wybuchnęłam wreszcie.

Recepcjonistka podniosła słuchawkę i zadzwoniła po nią. Mary przyszła po chwili i natychmiast zareagowała na to, co zobaczyła. Próbowała mnie do siebie przytulić. Odsunęłam się, nieufna. Podała mi swoją rękę. Poszłam za nią do windy, rozglądając się wokół nerwowo.

Weszłyśmy do nowego gabinetu. Nigdy tam jeszcze nie byłam. Cofnęłam się, przestraszona, ale bliskość Mary dodała mi odwagi. Usiadłam, nie odzywając się ani słowem. Popatrzyła na mnie życzliwie, a następnie sięgnęła ręką do torebki i wyciągnęła cukierka. Mój dziadek znów do mnie wrócił. Miałam trzy lata, a on jeszcze mnie nie stracił. Nieufnie włożyłam cukierka do buzi, siedząc naprzeciwko Mary, jak szczur w rogu klatki. Chciało mi się śmiać z tego, że Mary odnalazła drogę do mojego świata, ale udawała, że nie wie, o co chodzi. „To co? Powiesz mi, co się stało?" – zapytała spokojnie i przyjaźnie, ale z pewną nutą niepokoju w głosie. Zaczęłam jej opowiadać, ale po chwili zupełnie straciłam poczucie siebie. Na scenę bezceremonialnie wkroczył Willie, który starał się pomniejszyć znaczenie wydarzeń ostatnich kilkudziesięciu minut.

– Co mi się stało? – zapytał Willie.

– Miałaś coś, co fachowo określa się atakiem paniki – wyjaśniła Mary. Zapytała mnie o przyczyny, ale Willie powiedział jej, że ja tego nie wiem. Pomogła mi przypomnieć sobie ostatnie wydarzenia, na które Willie patrzył chłodnym wzrokiem obserwatora. Wydarzenia, w których Donna histerycznie przemierzała ulice.

Willie wyjaśnił wszystkie moje posunięcia. Mary nalegała, abym powiedziała jej więcej na temat mojego stosunku do starszego mężczyzny. Ale nalegała zbyt mocno. Opowiadałam o wszystkich zdarzeniach, jak spiker telewizyjny. Twierdziłam, że starszy mężczyzna był tylko zwykłym znajomym, który zasmucił mnie swoim zachowaniem. Mary coraz bardziej drążyła tę sprawę, pytając, czy miało to dla mnie jakieś

osobiste znaczenie. Zaczynała rozumieć zbyt wiele. Istniały odpowiedzi, których nie mogłam jej udzielić, jeśli zupełnie nie chciałam stracić nad sobą kontroli. Tak, ten człowiek był odpowiednikiem mojego dziadka. Po tym wyznaniu Donna rozpłakała się. Brutalność tego oświadczenia i żal nad utraconą tajemnicą były nie do wytrzymania. Siedziała tak, płacząc, a ponieważ nie można jej było dotknąć, nie było nikogo, kto mógłby ją pocieszyć.

Rozmawiałyśmy o śmierci mojego dziadka. Nikt nie wspomniał o kluczu do prawdziwego rozwiązania tego problemu: o tym mianowicie, że dziadek, jak zresztą każda inna osoba, umarł, kiedy Donna miała trzy lata. W tym samym czasie Willie spoglądał na ludzi ze złością, a Carol wyszła z lustra, żeby ich wszystkich uszczęśliwić. Jeśli Donnę zabiły złudzenia, to dlatego tylko, że nigdy nie była przygotowana na ich realizację. Tymczasem wytwory jej wyobraźni zaczęły żyć własnym życiem i odnosiły sukcesy tam, gdzie przegrywała Donna. Moje prawdziwe ja było ciągle jeszcze zahipnotyzowane kolorami w czasie, kiedy Carol uczyła się tańczyć, a Willie walczyć. Było to tak, jak gdybym umarła dla „świata". Kiedy zniknęła Donna, wszyscy umarli, ale nikt nie zdawał się tego dostrzegać. W gruncie rzeczy myślano, że Donna znowu powróci do życia.

Mary zmieniła opinię na temat podłoża moich kłopotów. Wydawało się jej, że moje problemy tkwią w sferze społecznej, a nie psychologicznej. Zaczęłyśmy mówić o przyszłości. Zapytała mnie, kim chcę być, kiedy dorosnę. Odpowiedziałam, że „psychiatrą, tak jak ty".

Nie przestawałyśmy się spotykać. Dzięki niej uwierzyłam, że nie ma rzeczy niemożliwych. Nigdy wcześniej nie robiłam tak ambitnych planów, jak od czasu, kiedy ją spotkałam. Być może myślała, że to, co przeżyłam, w sposób oczywisty zakłóciło moją równowagę psychiczną.

Sama starałam się odnaleźć odpowiedzi. W naszych rozmowach skakałyśmy z tematu na temat, aż w pewnym momencie dochodziłyśmy do wniosku, że moje deficyty świadomości społecznej były wynikiem takiej samej sytuacji w mojej rodzinie.

Brak świadomości społecznej mojej rodziny i lekceważenie przez nią wielu uznanych społecznie norm wynikały z jej niestabilności oraz jej niskiego statusu społecznego. Obie z Mary zgadzałyśmy się, że większość moich problemów jest konsekwencją sposobu, w jaki ludzie się do mnie odnoszą. Był to dość oczywisty wniosek w kontekście moich trudności ze zrozumieniem i właściwym reagowaniem na ludzi. Świat, w którym żyłam, był wyraźnie podzielony na część należącą do „nich" i część należącą do „nas".

Uznałam, że czas powrócić do szkoły. Wydawało mi się, że uzyskanie dyplomu umożliwi mi podjęcie pracy w banku.

Pracownicy banku nosili garnitury. A tych, którzy nosili garnitury, traktowało się z respektem. Dlatego chciałam pracować w banku. Nie wydawało mi się wtedy ważne, że wydaję więcej pieniędzy niż zarabiam ani że z trudem dodaję i odejmuję.

W tym czasie moje wizyty u Mary trwały już od roku. Miałam osiemnaście lat. Niestałość mojej psychiki napawała mnie lękiem. W miarę upływu lat coraz łatwiej było to dostrzec i coraz trudniej zaakceptować. Czasami czułam się jak dwudziestoletnia kobieta, czasami jak szesnastoletnia dziewczyna, a czasami jak trzyletnia dziewczynka. Opowiadałam o tym, próbując wyjaśnić, że ciągle jeszcze nie dojrzałam do opuszczenia rodzinnego domu, choć oczywiście można by się zastanawiać, czy kiedykolwiek w ogóle go miałam. Niepewnym tonem podkreślałam, że w dzisiejszych czasach ludzie nie wyrażają ochoty na adoptowanie osiemnastoletnich dziewcząt. Spojrzałam na Mary, która miała łzy w oczach. Byłam wzruszona jej reakcją na moje słowa, zdając sobie sprawę, że mnie nie byłoby stać na tak silne współczucie. Podeszłam do tego z pełnym zrozumieniem i zachowałam się najlepiej, jak tylko potrafiłam. Nie odzywając się ani słowem, udałam, że niczego nie zauważyłam.

Wiedziałam, że nie nadążam za światem. Najbardziej wymowną tego oznaką był fakt, że już od dwóch miesięcy byłam bez pracy. Musiałam wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy – miałam osiemnaście lat, byłam bez zawodu, jakość wykonywanej przeze mnie pracy pozostawiała wiele do życzenia, a edukację skończyłam w wieku piętnastu lat, co oznaczało, że będę zarabiać połowę tego, co ludzie dorośli. Na Chrisa nie mogłam liczyć, moje kontakty z przyjaciółmi i rodziną praktycznie nie istniały i w tej sytuacji Mary stała się dla mnie całym światem.

W college'u niedaleko mojego domu Mary umówiła mnie na spotkanie z pracownikiem poradni zawodowej. Dzięki Mary uwierzyłam w swoje siły i, wchodząc do szkoły, czułam się jak w nowym domu.

– Nie – powiedział sympatyczny mężczyzna, siedzący po drugiej stronie stołu. Uważał, że po kilkuletniej przerwie mam niewielką szansę na powrót do szkoły. Sprawę komplikowało jeszcze to, że chciałam sama przerobić materiał z dwóch klas i dostać się od razu do ostatniej klasy szkoły średniej. Ponieważ nie mogłam liczyć ani na stypendium, ani na wsparcie finansowe mojej rodziny, nie stać mnie było na spędzenie dwóch lat w szkole.

Zasugerowano mi, abym, o ile to możliwe, nie przyznawała się do moich zaległości w szkole. Okazało się, że to dobry pomysł. Teraz pozostawało już tylko zrobić dobre wrażenie podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Powiedziałam mojemu rozmówcy, że opuściłam szkołę ze względu na konieczność podjęcia pracy. Nie wspominając ani słowem o moich dwuletnich zaległościach, oznajmiłam, że chciałabym przeskoczyć tylko jedną klasę. Wyjaśniłam mu również, że, ponieważ często zmieniałam szkoły, trudno mi odnaleźć świadectwa z poszczególnych klas. Podkreśliłam fakt, że od czasu opuszczenia szkoły wiele się nauczyłam i że to powinno mieć jakieś znaczenie przy podjęciu decyzji. Myślę, że zrobiłam dobre wrażenie. Otrzymałam list z informacją, że zostałam przyjęta. Musiałam tylko zapłacić czterdzieści dolarów.

Mary promieniała radością. Chrisowi zaś niezbyt podobał się ten pomysł. Istniejąca między nami różnica wieku i poziomu wykształcenia stwarzała mu poczucie bezpieczeństwa.

Chris śmiał się z mojej naiwności. Kiedyś na przykład powiedział mi, że piasek na plaży został wyprodukowany przez specjalną maszynę. Zaczęłam przeżuwać drobniutkie ziarenka, podczas gdy Chris dalej wyjaśniał. „Widzisz – mówił – to specjalny rodzaj plastiku produkowany przez takie ogromne maszyny." Byłam zachwycona. Chwaliłam się komu popadnie moim najświeższym odkryciem, patrząc z lekceważeniem na tych, którzy o tym nie wiedzieli albo mi nie wierzyli.

Chris przez cały ten czas miał świetną zabawę i czasami mijało kilka miesięcy, zanim dowiedziałam się prawdy. Nie miało znaczenia, kim była osoba, która wyprowadzała mnie z błędu. Musiała tylko inaczej opowiedzieć mi o danym zjawisku, ponieważ w przeciwnym razie byłam zagubiona i pełna wątpliwości. Chris był zdania, że w miarę zdobywania wykształcenia zmieni się moja naiwność. Ale niezupełnie miał rację.

Chris na pewno był w jakimś stopniu oportunistą. Ale myślę, że na swój sposób troszczył się o mnie. Pewnego razu, będąc w pobliżu pracy mojego ojca, natknął się na niego i zaprosił go do nas na filiżankę herbaty.

Powstała niezręczna sytuacja. Od lat już nie spotykałam się z moim ojcem, czasami tylko widując go, kiedy przechodziłam koło jego pracy. Z mamą było podobnie. Matka zresztą nie mówiła o moim istnieniu nikomu, kto nie znał mnie wcześniej. Zaś tym, którzy mnie znali, opowiadała, że jestem dziwką i narkomanką. Ponieważ nie mogłam w żaden sposób się bronić, niektórzy zaczęli w to wierzyć, i o ile kiedyś obwiniali matkę za jej zachowanie wobec mnie, teraz szczerze jej współczuli.

I po tym wszystkim miałam przed sobą ojca, który siedział w moim mieszkaniu, w moim pokoju, na mojej kanapie. Śmiał się i żartował, zupełnie jak gdyby zaakceptował mnie taką, jaką jestem i jaką zawsze byłam. Tak mu się u nas spodobało, że postanowił nas jeszcze odwiedzić.

Od czasu, kiedy ukończyłam trzy lata, nie mogłam właściwie z ojcem swobodnie porozmawiać. Matka zawsze na niego najeżdżała, mówiąc mu, żeby „nie tracił na mnie czasu". Uznano, że wszystko, co mówiłam będąc dzieckiem, było bezsensowną paplaniną, i matka nie chciała, żeby ktokolwiek mnie do tego zachęcał, rozmawiając ze mną na moim poziomie.

Ojciec funkcjonował dzięki wypowiadanym przez siebie słowom – dzięki swojemu śmiechowi, tonowi ochrypłego głosu, dzięki sposobowi, w jaki śpiewał i gwizdał, a wreszcie dzięki swojej zdolności do pobudzania przedmiotów do mówienia. Spra-

wiał, że koty tańczyły i śpiewały. Dzięki niemu pudełko zapałek rozmawiało z paczką papierosów. Kiedy odwiedził mnie w moim mieszkaniu, był taki sam, jak dawniej. Chris nigdy nie widział mnie w podobnym stanie. Musiał się czuć jeszcze mniej ważny.

Ojciec nigdy do niczego mnie nie zachęcał, chociaż bardzo entuzjastycznie podchodził do wszystkiego, do czego i ja podchodziłam z entuzjazmem. Myślę, że był dla mnie swojego rodzaju połączeniem między moim prawdziwym ja i Carol. Dzięki niemu mój powrót do szkoły wydawał mi się przygodą. Zaczęłam myśleć o tym z radością i nie patrzyłam na to tylko jak na zadanie, które miało bardziej zbliżyć mnie do Mary, ale również jak na to „coś specjalnego", czego brakowało mi w życiu. Doszłam do wniosku, że jeśli znajdę odpowiedzi na moje pytania w szkole, to, niezależnie od ich skutków, warto podjąć takie ryzyko.

Zapłaciłam wymagane czterdzieści dolarów. Wybrałam przedmioty, były wśród nich biologia i socjologia, które trzeba było studiować, aby w przyszłości zająć się psychologią. Chciałam być taka, jak Mary. Postanowiłam również chodzić na lekcje muzyki. Angielski był obowiązkowy.

To był mój pierwszy dzień. Byłam bardzo zadowolona i chciałam zrobić jak najlepsze wrażenie. Brakowało mi tylko chusteczki przyczepionej do marynarki.

Poszłam na lekcje biologii. Nauczyciel chciał sprawdzić naszą wiedzę, pytając nas o sposób, w jaki żyją rośliny. Natychmiast podniosłam rękę. „Jedzą brud i piją wodę" – powiedziałam dumnie. Wszystkich w klasie ogarnął śmiech. Myśleli, że się wygłupiam. Byłam jednak śmiertelnie poważna i zupełnie nie rozumiałam, z czego się śmieją. Nauczyciel poprosił jednego z uczniów o wyjaśnienie procesu fotosyntezy. Nie sprawiło mu to najmniejszych trudności. Nauczyciel zapytał, co dzieje się z powstałym w tym procesie materiałem zbędnym. I znów, nie mogąc z podniecenia usiedzieć na miejscu, wyrwałam się do odpowiedzi. Nauczyciel udzielił mi głosu. „Wyrzucają go do śmieci" – powiedziałam dumnie. I znowu śmiech. „Niezupełnie" – odpowiedział spokojnie nauczyciel, starając się zachować powagę. Poprosił innego ucznia o wyjaśnienie. Myślę, że ludzie nie wiedzieli wtedy, czy mają mnie traktować jak dowcipnisia, czy jak zupełną kretynkę. Dla mnie jednak wszystko było zupełnie proste. Uważałam, że moje odpowiedzi są logiczne, a więc muszą być prawdziwe. Perspektywa uczenia się na pamięć cudzych odpowiedzi wydawała mi się nudnym zajęciem.

Z angielskim sprawa wyglądała nieco inaczej. Nie istniały tylko prawdziwe albo tylko fałszywe odpowiedzi. Musieliśmy czytać sporo powieści i wierszy. Moje długie, choć nieco mało konkretne streszczenia tego, co zrozumiałam z danej lektury, były zazwyczaj na tyle dobrze sformułowane, ze nie było kłopotu z ich zrozumieniem.

Zajęcia z angielskiego poświęcone były użyciu symbolu jako środka przenoszącego pewne impresje. Jeśli byłam w czymś rzeczywiście dobra, to właśnie w mojej zdolności tworzenia obrazów ze słów. Dzięki tym obrazom potrafiłam wyjaśnić rzeczy, które na papierze były tylko sekwencją nie połączonych w żadną całość zdań.

Pewnego rodzaju zaletą było dla mnie to, że nigdy nie czytałam dokładnie książek, unikając ślęczenia nad poszczególnymi zdaniami, w których łatwo było zagubić rzeczywiste znaczenie danej historii. Nauczycielka nie oczekiwała od nas szczegółowego streszczenia książki, ale uchwycenia specyficznej atmosfery, która w niej dominowała.

Książki odczytywano w klasie na głos. Czasami wpatrywałam się w czytającego, w ogóle go nie słuchając. Czasami wsłuchiwałam się w ton głosu, starając się odgadnąć, czy ten, kto czyta, dużo z tego rozumie.

Na lekcjach angielskiego pisaliśmy również własne utwory. Moją pierwszą pracę pisałam z ogromnym entuzjazmem, jak zwykle przyozdabiając każde słowo jakimś rysunkiem, żeby lepiej przekazać atmosferę utworu. Mieliśmy napisać o czymś, co się nam przytrafiło. Naiwnie wierząc, że robię to, co trzeba, opisałam dramatyczne wydarzenia, które doprowadziły do spotkania z Mary. Całą stronę zapełniłam rysunkami łez.

– Donno, to miał być utwór o tobie – powiedziała nauczycielka.

– To jest o mnie – odpowiedziałam.

– W takim razie o kim piszesz? – zapytała.

– O mnie – powiedziałam szeptem.

– Jeśli tak, to dlaczego w całej swojej pracy piszesz o sobie, używając zaimka „ty"? – zapytała. Ale wtedy ja sama tego nie wiedziałam.

– Czy to ma być jakiś żart? – zapytała nauczycielka, wskazując na moje wypracowanie.

– Ależ nie – odpowiedziałam, nieco urażona jej słowami.

– A co się stało z kropkami i wielkimi literami? – zapytała.

– Używam ich przecież – odpowiedziałam niewinnie.

– To prawda, ale powstawiałaś je nie tam, gdzie trzeba – powiedziała.

– Powstawiałam je w te miejsca, w których czytelnik musi zrobić przerwę na oddech – odpowiedziałam, idąc za głosem mojej własnej logiki.

– Czy ty to wszystko mówisz poważnie? – zapytała.

Nauczycielka napisała na tablicy kilka zdań, żeby sprawdzić moją ortografię. „Wstaw kropki i duże litery." – powiedziała. Zbliżyłam się do tablicy i zrobiłam kropki co pięć wyrazów tak, aby czytelnik mógł złapać oddech. Następnie dużymi literami rozpoczęłam te wyrazy, które były nazwami przedmiotów.

– Obawiam się, że masz olbrzymie zaległości – powiedziała nauczycielka zdziwiona i nieco zszokowana.

– Czy wyrzuci mnie pani ze szkoły? – zapytał Willie.

– Nie – odpowiedziała.

Z niecierpliwością czekałam na lekcję muzyki. Miałam nadzieję, że będę mogła pograć na pianinie. Jednak zajęcia na lekcji odbywały się według z góry ułożonego planu, który nie przewidywał gry na tym instrumencie.

Nic nie można było na to poradzić. Pianino przez cały czas stało zamknięte na klucz. Powiedziano nam, że możemy sobie wybrać instrument, na którym chcielibyśmy grać. Powiedziałam, że chcę grać na pianinie, ale okazało się to niemożliwe, ponieważ nie miałam go w domu i nie mogłam ćwiczyć. Najgorsze było jednak to, że w domu nie miałam żadnego instrumentu i właściwie na niczym nie mogłam grać.

Poinformowano nas, że będziemy musieli zapłacić za egzaminy, które były warunkiem ukończenia kursu. Każdy z nich miał kosztować osiem dolarów. Niewielkiego wysiłku wymagało uświadomienie sobie, że kogoś, kto nie zarabia nawet na czynsz, nie stać na ośmiodolarowy wydatek. Zrezygnowałam z muzyki i zapisałam się na filozofię, nie mając zresztą zielonego pojęcia, czym zajmuje się ten przedmiot.

Moja edukacja filozoficzna nie trwała długo. Z idiotycznym wyrazem twarzy, zaciśniętymi pięściami i zesztywniałymi ramionami już po kilku dniach gwałtownie opuściłam salę.

Nauczyciel zapytał mnie później o przyczyny tego zachowania. „Nie przyszłam tu po to, żeby się uczyć japońskiego." – powiedziałam. „Nie rozumiem nic z tego, co oni mówią." Nauczyciel zapewnił mnie, że jeśli wrócę do klasy, postara się nie używać „zbyt długich słów" i nie będzie mnie o nic pytał, żebym nie czuła się zakłopotana. Powiedziałam mu, że to i tak nie ma sensu. Pocieszał mnie, że po jakimś czasie przywyknę do tego specyficznego przedmiotu. Przypominał mi pana Reynoldsa. Postanowiłam, że spróbuję jeszcze raz.

I rzeczywiście udało mi się nauczyć wielu długich słów. Doszłam również do wniosku, że nie jest to zbyt stresujący przedmiot, ponieważ nie istniały tam tylko dobre albo tylko złe odpowiedzi.

Celem tych zajęć była dyskusja nad przekonaniami pewnych ludzi; takich, na przykład, jak Jezus Chrystus. Interesowało mnie to, w co wierzą ludzie. Było w tym coś z rozkoszy podsłuchiwania. Ponieważ uczestnicy dyskusji nie dawali szans obrony krytykowanym przez siebie postaciom, do akcji wkroczył Willie, który spierał się z każdym, kto miał coś do powiedzenia. Problem polegał jednak na tym, że kiedy Willie miał przedstawić swoje własne poglądy, zaczynał się zupełnie gubić. Posiadał umiejętność zajmowania i obrony dowolnie wybranego stanowiska, ale sam nie wierzył w prawdziwość żadnego z nich. Dla mnie to wszystko było tylko zabawną grą słów. A poza tym mój nauczyciel lubił mnie i czułam się, jakbym znowu była w klasie pana Reynoldsa.

Socjologia zajmowała się wpływem rodziny, wykształcenia i pozycji społecznej na proces formowania się jednostki. Mary nie była wprawdzie socjologiem, ale odnosiła się z ogromnym respektem do tej dziedziny nauki.

Ostatni rok terapii nauczył mnie analizowania rzeczy z socjologicznego punktu widzenia, jak również traktowanie terapii jako pewnego rodzaju systemu. Ten system umożliwiał mi później zrozumienie terapeuty i pomagał w zbliżeniu się do niego.

Teoria klas społecznych stała się dla mnie podstawowym i bardziej neutralnym sposobem wyjaśniającym moje rozróżnienie na „ich" i „nas". Mary do pewnego stopnia pomogła mi w takiej właśnie interpretacji pewnych zjawisk, co było dosyć naturalnym, choć subiektywnym rozumieniem mojego poczucia braku przynależności do „świata". Bałam się nawet przyznania przed sobą samą, na czym polega znaczenie tego rozdziału: „mój świat" versus „świat". Zaczęłam rozmyślać nad moim dylematem, koncentrując uwagę na problemie zbliżonym do mojego, który jednak miał niewiele wspólnego z rzeczywistą sytuacją.

Mary była moim lustrem. Pochodziła z innej klasy społecznej. Stąd brało się jej poczucie przynależności, które mi było obce. A ponieważ nigdy temu nie przeczyła, zrozumiałam, że musi być prawdziwe.

Psychologia najbardziej mnie wciągnęła. Wprawdzie moja nauczycielka była bardzo wymagająca, ale czułam, że odnosi się do mnie z szacunkiem w uznaniu dla wysiłku, jaki w to wkładałam.

Duża część psychologii poświęcona była odkrywaniu mechanizmów funkcjonowania poszczególnych rzeczy. Analiza pracy umysłu była dla mnie jak badania przedmiotu, który funkcjonował w pewnym systemie. Budowę poszczególnych systemów łatwo było przewidzieć i miało się dość dużą pewność, że przewidywania te są trafne. Do tego rodzaju wiedzy podchodziłam z szacunkiem.

W podręczniku znajdowało się dużo rysunków i diagramów, co bardzo ułatwiało jego lekturę. Zrobiono nawet specjalne listy istotnych terminów psychologicznych, które trzeba było zapamiętać. Dzięki nim jeszcze lepiej potrafiłam rozłożyć się niejako na czynniki pierwsze, a potem znowu złożyć je w jedną całość.

Dowiedziałam się, że mój umysł również stanowi pewien system. Ponieważ byłam tego świadoma, stanowiło to dla mnie swoistą obronę. Potrafiłam wyjaśnić, dlaczego jestem taka, jaka jestem. Mogłam również określić u siebie cechy, które potwierdzałyby, że jestem nienormalna, albo takie, które świadczyłyby o tym, że jestem głupia. Co więcej, wszystkie te wyjaśnienia formułowane były w taki sposób, jak gdybym była ucieleśnieniem inteligencji i zdrowia psychicznego osoby, do której żywiłam najgłębszy szacunek – mojego psychiatry.

A mimo to nie byłam taka, jak Mary. Mój język był prosty, wulgarny i nie w pełni przeze mnie kontrolowany. Nie znałam właściwie żadnych manier i wszystko traktowałam dosłownie. Wypracowania, które oddawałam, były bardzo niechlujne.

Nauczycielka psychologii zwróciła nam nasze prace. Wystawiając stopnie, kierowała się raczej oceną treści, a nie formy. Kiedy doszła do mnie, powiedziała, że postawiła mi najwyższą ocenę w klasie, zaznaczając jednocześnie, że nigdy wcześniej nie czytała takich gryzmołów. Moje wypracowanie napisałam na kartce, którą uprzednio całkowicie pokryłam białym korektorem, zamalowując w ten sposób znajdujący się tam wcześniej tekst. Nie wyglądało to ładnie. Jednak w ogóle sobie nie uświadomiłam, że zużyty przeze mnie korektor kosztował więcej niż kartka papieru, na której pisałam.

Nauczyciel biologii zorientował się, że nie potrafię dodawać ani odejmować. Pewnego zamętu dokonał mój wcześniejszy nauczyciel, który poprosił mnie o przedstawienie wszystkich obliczeń pisemnie. Do tamtej chwili miałam swój własny sposób, który zupełnie nieźle się sprawdzał. Kiedy nie mogłam nauczyć się ich systemu, zrobiłam sobie założenie, że skoro nie mogłam pokazać moich wyliczeń, to mój system również nie był dobry. A ponieważ nigdy nie nauczyłam się ich systemu, stosowałam go bez powodzenia, nie zajmując się dłużej systemem mojej własnej logiki.

Nauczyciel biologii zaproponował mi, żebym używała kalkulatora. Nie wiedziałam jednak, jak to się robi. Starał się objaśnić mi zasady jego działania. Kiedy poprosił mnie o wyliczenie procentu jakiejś sumy, zaczęłam szukać przycisku „z", ale szybko dałam sobie spokój, zniechęcona i rozzłoszczona. Nauczyciel zrozumiał wtedy, że miałam poważne kłopoty.

Moja nauczycielka matematyki była jak z bajki. W ogóle nie wyglądała na nauczycielkę. Była blondynką o spiętych w warkocze włosach i przypominała mi Elizabeth – spotkaną przez mnie piętnaście lat wcześniej dziewczynę ze szkoły specjalnej, której włosów lubiłam dotykać.

Obserwowałam, jak robi wyliczenia na kartce. Na mojej twarzy pojawiał się uśmiech. „Wspaniale" – mówiłam. „Czy możesz nauczyć mnie tej sztuczki?" Próbowała mi wytłumaczyć, że matematyka nie polega na robieniu magicznych sztuczek. Siedziałam przy niej, starając się uwierzyć w to, co mówi.

Istniało kilka rzeczy, które dość łatwo rozwiązywałam, ale w przeciwieństwie do szkolnej matematyki, nie potrafiłam wyjaśnić, w jaki sposób uzyskałam rozwiązanie. Dzięki niej jednak nauczyłam się wielu rzeczy. Była ze mnie bardzo dumna, a ja byłam dumna z siebie.

Mary również była ze mnie bardzo dumna. Co tydzień ją odwiedzałam, ale nasze spotkania miały coraz bardziej towarzyski charakter. Zastanawiałam się, czy uświadamiała sobie, że dzięki tej akceptacji podnosiło się moje poczucie własnej wartości, inspirując mnie do działania bardziej niż cokolwiek innego.

Moja nauka współżycia z innymi ludźmi na niewiele się zdawała, ponieważ i tak nie dopuszczałam do siebie większości z nich i większość z nich uznawała mnie za dziwaczną osobę.

Traktowałam Mary jak osobę ze „świata", której mogłam zaufać. Ona natomiast zaakceptowała mnie nie tylko jako pacjenta, ale również jako człowieka. Na swój sposób bardzo się do niej zbliżyłam. W moim umyśle postrzegałam ją jak długo oczekiwaną mistyczną matkę Carol. Ponieważ jednak wszelkie zależności międzyludzkie istniały w moim umyśle, a nie w rzeczywistości, był tylko jeden sposób, żeby na stałe wprowadzić to przywiązanie do mojego świata. Kompulsywnie zaczął pojawiać się Willie, stając się osobą, która symbolizowała ochronę, siłę i samokontrolę.

Wpadałam z jednej krańcowości w drugą, ponieważ Carol i Willie byli swoim dokładnym przeciwieństwem. Kiedy moja huśtawka wzbijała się coraz wyżej w powietrze, dostrzegałam coraz szerszy horyzont, a dzięki niemu dowiadywałam się coraz więcej o sobie.

Udało mi się znaleźć nowe mieszkanie, mimo że utrzymywałam się tylko z dwóch etatów sprzątaczki. Nie miałam łóżka. Miałam tylko kanapę i stolik, które dostałam od Armii Zbawienia. Resztę moich rzeczy zostawiłam Chrisowi.

Jeden z moich sąsiadów podarował mi stare radio, z którego wydobywało się głośne brzęczenie. To był mój najlepszy przyjaciel.

Zarabiałam dwadzieścia dolarów tygodniowo; czynsz za mieszkanie wynosił trzydzieści pięć. W końcu moje modlitwy o pozytywną odpowiedź na podanie o pracę na pół etatu zostały wysłuchane.

Każdego wieczora po szkole jeździłam rowerem do mojej nowej pracy w sklepie z żywnością na wynos. Zjadałam skrawki, jakie zostawały każdej nocy. Nikt nie wiedział, że oprócz tego i posiłku, jaki dostawałam od mojej starej przyjaciółki Robyn, nic więcej już nie jadłam.

Cheryl, jedna z dziewczyn, z którą pracowałam, zaczęła podkradać żywność i chować ją do mojego pudełka. Każdego wieczoru wypełniała go frytkami. Pewnego razu znalazłam nawet kawałki ciepłego pieczonego kurczaka. Płakałam z radości.

W tym czasie zaczął odwiedzać mnie ojciec. Byłam z tego bardzo zadowolona. Zabierał mnie na zakupy. Kupowałam zazwyczaj kilka galaretek i pudełko ryżu. Starał

Często teraz myślałam o swoim dziadku. Próbowałam dociec, co takiego stało się ze mną, że dziadek umarł w „moim świecie" na dwa lata przedtem, nim odszedł ze „świata". Postanowiłam wybrać się na cmentarz.

Usiadłam na jego grobie. Nie odwiedzałam go od jedenastu lat. Przypomniałam sobie, jak przyszliśmy tu, gdy Tom miał trzy lata. Ojciec powiedział mu, że Dziadzio mieszka tutaj, pod ziemią. Tom próbował odnaleźć wejście do grobu i był zawiedziony i zły, że tam nie wejdziemy.

Niesiony wiatrem liść przetoczył się po grobie i zatrzymał się na mnie. Podniosłam go i powiedziałam „Dziękuję".

Po drodze do domu zatrzymałam się na samotnej stacji benzynowej w niemal wiejskiej okolicy pod miastem. Do samochodu podeszła koza i zaczęła skubać oponę. Spytałam pracownika stacji, czy samochód na tym nie ucierpi, a on odpowiedział, że to koza ucierpi, bo tej nocy zamierza ją zastrzelić. „Nie zrobi pan tego" odpowiedziałam śmiało. „Ja ją zabiorę do domu". Mężczyzna ze stacji chętnie się zgodził, żebym ją zatrzymała.

Znów w drodze do domu zaczęłam płakać. Przez zasłonę łez ledwo widziałam, co mam przed sobą. Po szesnastu latach nagle dotarło do mnie, że mój dziadek nie umarł celowo. Nazwałam kozę jego imieniem.

Mieszkając w domu na wsi, czułam się względnie swobodnie a codzienna długa jazda na uniwerek dawała mi czas na marzenia i rozmyślania. Ciągle jednak nie odnalazłam domu w tym mistycznym sensie, który zdawał się mi umykać. Pewnego dnia obudziłam się ze snu, z którego dowiedziałam się, że nie zostanę tam na zawsze.

Przyśnił mi się młody ciemnowłosy mężczyzna; i choć na jawie nigdy go nie spotkałam, wiedziałam, jak się nazywa, z jakiej pochodzi rodziny, jakim jest człowiekiem i jak żyje. Łączyła mnie z nim wielka przyjaźń, taka, jakiej nie zaznałam z żadnym z mężczyzn, z którymi dotąd mieszkałam.

Śniło mi się, że kiedyś mieszkaliśmy w jednym domu, ale teraz mieszkam z kobietą. O dziwo wiedziałam, że poznałam ją przez dziewczynę, z którą przyjaźniłam się mając czternaście lat, Stellę. W moim śnie ta kobieta i ja stałyśmy się najbliższymi przyjaciółkami.

Śniło mi się, że znowu są moje urodziny. We troje staliśmy wokół stołu okrytego starym koronkowym obrusem. Wznieśliśmy kieliszki (kryształowe kieliszki, które później dostałam od przyjaciółki). Tamtych dwoje życzyło mi „Sto lat!"

Opowiedziałam mój sen koleżance. „To chyba znaczy, że odchodzę" powiedziałam. Dwa lata później sen się ziścił, ze wszystkimi szczegółami, dokładnie to, co widziałam i co jej opisałam.

Byłam teraz na trzecim roku studiów. Udało mi się nabrać umiejętności rozumienia socjologii przez pryzmat moich własnych doświadczeń. Filozofię zarzuciłam i zaczęłam wybierać sobie przedmioty ściślej związane ze sferami, w których, jak przypuszczałam, mogłabym znaleźć odpowiedzi, jakich szukałam. Wyrosłam już z obsesyjnego pragnienia, by stać się taka jak Mary; miałam przed oczami coś jeszcze cenniejszego. Zaczęłam podejmować próby dowiedzenia się czegoś o sobie.

Stałam się znana dzięki bezstronnym i otwarcie wyrażanym poglądom na użyteczność bądź brak użyteczności rzeczy, których się uczyłam. W pewnym stopniu zaczęłam zdobywać sobie popularność jako ja.

Oba moje oblicza zaczęły nawiązywać nieco bliższą łączność z moją prawdziwą istotą, choć wciąż były o całe mile odległe od siebie nawzajem. Było to jakby kontinuum, na którym, osłonięte i nieujawnione, pośrodku, znajdowało się moje autentyczne ja. Postacie, którymi się stałam, w swojej skrajności potrafiły wręcz wypierać się i tracić świadomość mojego istnienia. Z kolei w innych sytuacjach były bezosobowymi, komunikatywnymi, obytymi w świecie wersjami mojej osoby, zdolnymi do testowania ludzi i otoczenia w imieniu tej, która nie była w stanie ogarnąć tych zjawisk w całej ich złożoności w stopniu wystarczającym, by sobie radzić.

Jeśli moje prawdziwe ja było po prostu podświadomością, to znaczy, że przez jakiś tragiczny przypadek niecałkowicie pogrążyła się we śnie. Jeśli to był mój świadomy umysł, to byłam jakby w stanie snu na jawie, nie do końca wybudzona. Wobec głębi uczuć, których doznawałam jako ja, wszystko inne zdawało się puste, sztuczne i dwuwymiarowe. Świat, który te dwie komunikatywne wersje mojej osoby jakoś znosiły, dla mnie był skomplikowaną mieszaniną niezrozumiałych i agresywnych nacisków. Tak więc w dążeniu do wyswobodzenia się, musiałam rozerwać wszystko, co udało się stworzyć moim postaciom. Rozrywane i odrzucane były przyjaźnie Carol. Nieustannie wywracane do góry nogami i odrzucane były silne przekonania Williego – zawsze w momencie, w którym zyskiwały status dogmatu.

Życie za szkłem. Śmierć na żywo całkiem znośna.
Czysty lęk przed jednym dotkliwym dotknięciem,
Które mogłoby strzaskać szkło na zawsze,
I strącić tancerkę z liny
Prosto w poznanie nieznanego.
Dziś świat wydawał się sceną
Z księgi tajemnic, z której wyrwaliśmy stronę.
Dotkliwy dotyk strzaskał szkło między dwoma światami,
A zimny wiatr niepewności zaświstał dreszczem
Przeszywającym ciało i duszę, po raz pierwszy zjednoczone,
Jak dzikie i wolne pędy winorośli.

Bryn był niezwykły. Odstawał od tłumu. Był cichy i trzymał się na uboczu, ale miał w sobie coś więcej, coś, co go wyróżniało. Inni ludzie, gdy chcieli mnie poznać, starali się ze mną rozmawiać. Bryn po prostu przychodził i był w mojej obecności. Bryn był zdolny komunikować się z innymi, ale bardzo trudno było nawiązać z nim kontakt w sposób, w jaki ludzie robili to zazwyczaj. Wyczuwał także moją odmienność. Gdy między nami przeleciała iskra, reszta świata znikła.

Od czasu dziewczynki poznanej w parku gdy miałam trzy lata, nikt nie był zdolny owładnąć mną tak bez reszty. Albo ja przebywałam w jego świecie, albo on w moim. Być może oboje istnieliśmy w jeszcze innym świecie. Jak dotąd nie znalazłam innej osoby, która także by w nim egzystowała.

Bryn i ja po prostu spotykaliśmy się w tych samych miejscach. Nie mogliśmy sobie mówić, co czujemy; dość, że to wyczuwaliśmy i w duchu szacunku dla należnego dystansu nie mówiliśmy nic.

Prawdę powiedziawszy Bryn i ja prawie w ogóle nie zwracaliśmy się do siebie bezpośrednio. Porozumiewaliśmy się przez rozmowy o przyrodzie i rozmaitych zjawiskach w naszym otoczeniu, wiersze, które czytaliśmy i filmy, które oglądaliśmy. Nigdy nie mówiliśmy sobie, jakie znaczenie mogą mieć dla nas któreś z tych rzeczy. W istocie każde z nas mówiło raczej do siebie samego niż do drugiej strony, udzielając jej tylko przywileju słuchania.

Zaczęłam szczotkować włosy Bryna. On kupował dla mnie lunch i jedliśmy razem na trawie, pod naszym specjalnym drzewem. Obojgu nam było niezwykle trudno patrzeć sobie w oczy, a gdy się to zdarzyło, znów przychodziło to przerażające uczucie utraty siebie.

Ludzie mówili, że jesteśmy w sobie zakochani. Broniłam się, nie pozwalając degradować tego, co łączyło mnie z Brynem przez jakiekolwiek porównania do zwykłych związków.

W ciągu tego roku, kiedy tak bardzo przywiązałam się do Bryna, ani razu nie udało mi się na jego widok nie odczuć lęku i skrajnego zdenerwowania. Przez to spotkania z nim były dla mnie niekiedy torturą prawie nie do zniesienia. Prawie cały czas jąkałam się i trzęsłam. Ponieważ jednak on był taki jak ja, zawsze reagował właściwie i po prostu patrzył w przestrzeń, nie dając po sobie poznać, że coś zauważył. W zasadzie takie sprawy nie miały znaczenia i to była ta zwyczajna bezwarunkowa akceptacja, która oznaczała, że przebywając w swoim towarzystwie nie jesteśmy dla siebie; po prostu jesteśmy.

Nie było desperackiego pragnienia, by wyjść z izolacji i dotknąć siebie nazwajem „w realnym świecie". Ważne było tylko to, że ktoś był zdolny dotknąć mnie w sensie emocjonalnym „w moim świecie".

Pewnego dnia w milczeniu i nienaumyślnie zetknęliśmy się dłońmi. Byłam przerażona. Ten poruszający emocje dotyk był dla mnie niemal nie do zniesienia. Sie-

dzieliśmy obok siebie, pozornie ignorując fakt, iż nasze dłonie się dotykają, i pozwalaliśmy sobie doświadczać tego uczucia. Ja czułam się, jakbym miała umrzeć.

Kiedyś podwoziłam do domu pewną dziewczynę z uniwersytetu. Gdy przejeżdżałyśmy obok szkoły specjalnej, do której chodziłam jako małe dziecko, pokazałam jej, że tam się uczyłam.

– Niemożliwe – powiedziała. – To jest szkoła specjalna.

– To znaczy? – spytałam.

– Szkoła dla dzieci specjalnej troski – wyjaśniła. – Moja mama pracuje tam jako logopeda.

– Może coś się zmieniło – przypuściłam naiwnie.

– Nie, to zawsze była szkoła specjalna – odparła. – Możesz spytać moją mamę.

Bryn i ja leżeliśmy wyciągnięci w trawie. Powiedziałam mu, co mówiła ta dziewczyna.

– Ja też chodziłem do szkoły specjalnej – zwierzył mi się Bryn. – Rodzice wysłali mnie z domu, bo myśleli, że jestem wariatem.

Opowiedział mi, jak spędzał czas w „domu opieki" i że miał problemy w porozumiewaniu się z ludźmi. Jego rodzice sądzili, że może mieć schizofrenię.

Bryn nie miał urojeń na temat ludzi w swoim otoczeniu. Czuł się jednak w ich obecności boleśnie skrępowany. Nie dręczyły go halucynacje, tylko trudności z komunikacją i lęk przed kontaktem emocjonalnym z drugim człowiekiem, z którym jednak umiał sobie radzić niemal lepiej ode mnie. Jeśli Bryn był schizofrenikiem, to ja zapewne też.

Ta myśl budziła lęk, lecz z tego, co czytałam na temat schizofrenii, moje objawy nieszczególnie pasowały do opisu. Choć bałam się bliskości i miałam uczucie, że ludzie naruszają moje terytorium, nie były to doznania typu urojeniowego ani paranoidalne. Choć przedmioty sprowadzały się dla mnie niekiedy do najprostszych cech, takich jak ich barwa, dźwięk czy wrażenie dotykowe, nigdy nie czułam się przez to zagrożona.

Mimo że czasem zachowywałam się jak szalona, a innym razem okazywałam absolutną uległość wobec innych, nie była to kwestia urojeń; te zachowania wynikały z reakcji wstrząsowej wyzwalanej przez każdy rodzaj bliskości, od przekroczenia dystansu fizycznego po umysłową bliskość zrozumienia.

Miałam problemy ze słownictwem, ale nie z powodu zaburzonego myślenia, nigdy też nie rzucałam słów bezładnie jak poszarpaną sałatę. Albo powtarzałam je bez emocji naśladując to, co mówili inni ludzie, z dziwacznym akcentem, jąkając się, albo też mój umysł stawał się całkowicie niezdolny do sformułowania słów, bym mogła przemówić. Wszystkie te problemy wynikały ze strachu przed porażającą intensywnością moich w istocie nietkniętych emocji.

Chciałam porozumiewać się z ludźmi i dlatego stworzyłam osoby, przez które mogłam to robić, przeżyć na nowo część moich frustracji i spróbować dowieść swojej inteligencji i zdrowych zmysłów. To jednak nie były mityczne potwory; były rodziną, którą stworzyłam na własny użytek w moim ciasnym i niezmiernie samotnym,

niedostępnym dla innych świecie. Służyły mi jako tłumacze, pomagając przezwyciężać problemy komunikacyjne między „światem" a „moim światem".

Gdy pozwalałam ludziom wchodzić w relacje z moimi postaciami, na które z kolei ja mogłam odpowiednio reagować, doznawałam wrażenia, że obserwuje mnie duch, co przypominało raczej przeżycia typu wyjścia poza ciało. Trwało to niekiedy tak długo, że aktorka w moim ciele, w stanie automatyzmu, traciła z oczu układ sterowania, który mógł sprowadzić ją z powrotem na ziemię. Są to skrajne odmiany doświadczeń przeżywanych przez wielu ludzi, właściwych bynajmniej nie jedynie schizofrenikom.

Zadzwoniłam do ojca.

– Dlaczego posłaliście mnie do szkoły specjalnej? – spytałam.

– Jakiej szkoły specjalnej – odparował wymijająco.

– Dobrze wiesz, o czym mówię. – I wymieniłam nazwę szkoły, żeby wspomóc jego pamięć.

– Ach, ta szkoła – powiedział, jakby go nagle oświeciło. Wyjaśniłam mu, czego dowiedziałam się od dziewczyny, której matka tam pracowała.

– Co było ze mną nie w porządku? – napierałam. – Czy byłam wariatką?

– Nie, słuchaj, byłaś trochę dziwna, kiedy byłaś mała, ale to wina matki. Z tobą jest wszystko w porządku.

– To znaczy jaka byłam? Proszę, powiedz, nie zamierzam nikogo obwiniać – błagałam. – Naprawdę muszę wiedzieć. Jaka byłam?

– Uważano, że jesteś dzieckiem autystycznym – odpowiedział ojciec.

Spytałam dlaczego.

– No bo nie pozwalałaś nikomu zbliżać się do siebie i trochę dziwnie gadałaś. W kółko powtarzałaś to, co mówili inni. Ale nic dziwnego. Matka ciągle cię biła i wrzeszczała na ciebie. Nikt nie słuchał tego, co mówiłaś – zakończył obronnym tonem. Podziękowałam mu.

Nie wiedziałam, co dokładnie znaczy „autystyczny". Myślałam, że to jest ktoś zamknięty w sobie. No i co! Byłam zamknięta w sobie, i co z tego? Cały czas o tym wiedziałam. Byłam świadoma, że jest mi trudno znieść, gdy ludzie mnie dotykają, mówią mi miłe rzeczy albo chcą mnie lepiej poznać. Wiedziałam też od matki, że przez długi czas nie mówiłam nic innego, tylko powtarzałam to, co mówili inni. Nadal nie rozumiałam, dlaczego to miało taki wpływ na tyle innych sfer mojego życia. Uznałam, że muszę być szalona i zagrzebałam się w książkach psychologicznych, chcąc dowiedzieć się, na co konkretnie cierpię. Jednak w żadnej z tych książek nie znalazłam wzmianki o „autyzmie" i trwałam, jak przedtem, w ciemnościach.

Przeprowadziłam się z powrotem do miasta, na podwórze kamienicy. Kupiłam sobie przyczepę campingową i zamieszkałam w niej. Moje pianino mieszkało w do-

mu. Ja – z tyłu w ogrodzie z dwoma kotami. Kozę zostawiłam tam, gdzie było jej miejsce – w górach.

Każdą wolną chwilę spędzałam komponując muzykę. Zaczęłam teraz pisać piosenki, dla których inspiracją była znajomość z Brynem. Gdy nie komponowałam, tkwiłam po uszy w książkach na temat psychologii społecznej.

Odcięłam się od Bryna. W przeciwieństwie do innych ludzi, z którymi wchodziłam w związki, nie przestał dla mnie istnieć. Po prostu w jego obecności czułam się zbyt prawdziwa i czułam, że muszę uciec. Dla mnie to była wyraźna różnica. Były osoby, które opuszczałam, i takie, przed którymi uciekałam. Problemy pojawiały się, gdy ludzie, których opuszczałam, starali się mnie zatrzymać, bo myśleli, że przed nimi uciekam, zaś ci nieliczni, przed którymi uciekałam, wyobrażali sobie, że po prostu ich opuszczam i czuli się odrzuceni i zlekceważeni. Te pozornie subtelne różnice wynikały z uderzających różnic w sferze emocji, jakich wówczas doznawałam: wszystko albo nic.

Znowu wycofałam się bardzo zdecydowanie w nie odczuwanie niczego. Walka o odzyskanie i zachowanie mojego prawdziwego ja zatoczyła koło i teraz nie odchodziłam: uciekałam.

Carol z zapałem przejęła opuszczoną scenę. Tym razem ta stworzona przeze mnie postać zachowywała się wyraźnie maniakalnie. Życie stało się nieustającym korowodem przyjęć, śmiechu, tańca i ludzi. Willie siedział na krześle reżyserskim. Carol cofnęła wskazówki zegara i odgrywała teraz rolę wiecznej nastolatki.

Zaczęłam dużo czasu pświęcać życiu towarzyskiemu na uniwersytecie. Tim mieszkał na kampusie. Gdy nas ze sobą poznano, zaledwie pomachałam mu ręką; na dobrą sprawę ledwo go zauważyłam. Był wysoki, ciemny, studiował medycynę, jak kiedyś jego rodzice. Ja także nie zrobiłam na nim jakiegoś piorunującego wrażenia. Żyliśmy obok siebie i z początku nie zdawałam sobie sprawy, że to on był tym mężczyzną ze snu, który dwa lata temu opowiedziałam przyjaciółce.

Tima pociągała muzyka; mnie też. O dziwo jakoś zapomniałam, że mieszkam w przyczepie na podwórzu kamienicy, w której stoi moje własne pianino. Coraz więcej czasu spędzałam grając na pianinie w sali uniwersyteckiej.

Okazało się, że zarówno Tim, jak i ja słuchamy wzajemnie swojej muzyki. Tim nie komponował dużo, ale przepięknie grał. Carol dała mu prawo do grania piosenek i innych utworów Donny, na co ona sama była zbyt mało oswojona. Timowi bardzo się one podobały: miał też piękny głos. Wyciągnął te piosenki z cienia świata Donny, w którym nikt nie miał szans się nimi cieszyć, i pokazał je „światu". Carol śpiewała wraz z nim.

Tim pokochał te piosenki jak własne a poprzez muzykę nawiązał kontakt z Carol. Jakimś sposobem nacisnął kolejny włącznik i zaczęła pojawiać się Donna, która nie chciała, by je śpiewał, chciała odebrać mu swoją muzykę.

Ale mimo iż miałam mu za złe śpiewanie moich piosenek, Tim miał zdolność obezwładniania mnie swoją cudowną umiejętnością grania mojej muzyki niemal tak pięknie, jak ja słyszałam ją w duszy w trakcie komponowania. W mojej duszy grała orkiestra; gra Tima czyniła ją niemal realną.

Znowu zaczęłam zamykać się przed ludźmi. Przeprowadziłam się z moim pianinem do jednopokojowego domku i wyłaniałam się z niego tylko po to, żeby nagrywać piosenki, które pisałam tydzień po tygodniu. Z każdą nową piosenką znikałam w mieszkaniu Tima, aby przepraszająco odegrać mu swój najnowszy utwór.

Tim stał się moim najbliższym przyjacielem od czasów Trish, z którą przyjaźniłam się, mając siedem lat. Zaczęłam sypiać w jego pokoju, przy jego łóżku.

Moja znajomość z Timem była inna niż z Brynem. Nie bałam się tak bardzo naszej bliskości; Tim miał umiejętność zbliżania się do mnie bez zagarniania mnie w taki sposób, jak to robił Bryn. Przy Timie, gdy było mi za trudno, mogłam uciekać w swoje postacie ale też miałam poczucie, że mogę swobodnie czuć się, jakbym ciągle miała trzy lata. Czasem wydawało mi się, że i on jest tylko trzylatkiem.

Staliśmy się z Timem najlepszymi przyjaciółmi i zamieszkaliśmy w jednym domu. Ze swojego pokoju przez korytarz śpiewał mi do snu. Ja pozwalałam mu się czesać i zaprosiłam go do swojego świata.

Tim był człowiekiem, który akceptował innych dokładnie takich, jakimi ich widział. Pod względem umysłowym był w porządku, choć był bardzo nieśmiały i podobnie jak ja ukrywał się za wieloma bardzo przekonującymi fasadami. Tak jak ja odchodził od każdej osoby, z którą nawiązał wyraźnie bliższą więź. Ale ja nigdy nie stałam się dla niego kolejnym numerem.

Stworzyliśmy cudowną atmosferę prawdziwego domu. Wszystko w nim było nasze i specjalne. To był raj trzylatków. Po dziecięcemu pokochałam Tima a on mnie. Czasem rozmawialiśmy tak długo, że w ogóle nie kładliśmy się spać.

Zaczęliśmy spędzać ze sobą każdą świadomą chwilę. Były wakacje; jeździliśmy razem do pracy, spotykaliśmy się na lunchu, dzwoniliśmy do siebie tylko po to, żeby się przywitać i czekaliśmy niecierpliwie aż znowu spotkamy się w domu. Uprzytomnienie sobie, jak bardzo stajemy się sobie bliscy, jak zawsze zapowiedziało początek końca.

Zaczęłam bać się Tima. W jego oczach pojawiła się inna, większa głębia i uświadomiłam sobie z całą jasnością, że stałam się dla niego bardzo ważna.

Poszliśmy razem na tańce. W jego towarzystwie czułam się względnie bezpiecznie, ponieważ on miał dar odstraszania wszystkiego, co mnie przerażało. W tańcu nagle zalała mnie fala lęku. Zaczęłam się bać. Spojrzałam w oczy Tima szukając w nich drogi ucieczki od tego czegoś strasznego, czego nie mogłam wyrazić. Tim nachylił się do mnie i powiedział, że jeśli istnieje kobieta, z którą chciałby być, to jestem nią ja.

To było jak uderzenie w twarz. Skamieniałam w czasie i przestrzeni. Moje ciało nadal tańczyło, ale Tim jednym ruchem zabił poczucie bezpieczeństwa, które w nim dotąd odnajdywałam. Najwyraźniej dorósł.

Wróciła Carol, taka, jaką była przedtem: płytka, towarzyska i wyćwiczona w sztuce powierzchownych znajomości między dorosłymi. Dom trząsł się od śmiechu i muzyki. Carol śpiewała na cały głos; Donna znikła. Carol odszukała w książce telefonicznej numer Stelli i zaprosiła do siebie tę dziewczynę, która w liceum zawsze wykorzystywała jej ekscentryczne zachowania jako wymówkę dla własnych. Stella uwielbiała nocne kluby. Carol wlokła ze sobą Tima.

❦

— Karen! – zawołała Stella, przemierzając pokój, by podejść do ekstrawanckiej kobiety w sukni w lamparcie cętki i futrze. – Pamiętasz chyba Karen? Pamiętasz, jak zabrałam cię do niej, gdy byłyśmy dziećmi?

– Cześć – powiedziała Carol i usiadła.

Karen nieustannie nawijała o mężczyznach. Jej filozofia była prosta: wszyscy mężczyźni to świnie, które wykorzystują kobiety i tylko od kobiety zależy, czy uda jej się pierwszej ich wykorzystać. Powiedziała mi, że już najwyższy czas, bym dowiedziała się czegoś o życiu.

Karen i Carol uwielbiały plotkować. Im bardziej rozmowa schodziła na związki damsko-męskie, tym wyższa stawała się temperatura. W końcu zeszła na Tima. Karen znacząco wypytywała o sytuację z Timem, a Carol ulegała jej oczekiwaniom. Karen w swój niezdrowy sposób uparła się, że pomoże zbłąkanej Carol opracować szczegółowy plan „złapania" tego mężczyzny na dobre. Carol nie była aż tak agresywna i próbowała się wycofać. Miała wątpliwości, czy Tim jest zainteresowany czymś więcej niż związek platoniczny i wykręcała się wymówką, że była już w wystarczająco wielu związkach i nie chce „popełniać tych samych błędów". Karen zinterpretowała to jako brak wiary w siebie i starała się pomóc Carol „wysyłać odpowiednie sygnały".

❦

Tim był zaintrygowany entuzjazmem Carol wobec odnowionej przyjaźni z Karen. Sam zaczął ją odwiedzać. Carol wprowadziła na scenę element odpowiedzialności. Miała jakoby wziąć na siebie odpowiedzialność za pomoc Timowi w przezwyciężeniu domniemanej nieśmiałości w związkach międzyludzkich. To był fatalny błąd. Odpowiedzialność nigdy nie była domeną Carol.

Dom zaczął wrzeć od kłótni, oskarżeń i długich, pokrętnych dyskusji i analiz. Te spory jak zawsze wygrywał Willie, którego jedną z najmocniejszych stron była odpowiedzialność.

Tim postanowił wybrać się w odwiedziny do znajomego. Poprosił Williego, żeby pojechał z nim. Wtedy zadzwoniła Karen, powiedziała, że to świetny pomysł i przypomniała Williemu, że nie może zawieść Tima, że, skoro sytuacja tego wymaga, w świetle powszechnie znanej nieśmiałości Tima, to po prostu kwestia odpowiedzialności.

To była długa podróż. W pokoju, który mieli dzielić, znajdowało się kilka łóżek. Willie zapytał Tima, gdzie ma spać.

Przez całą długą drogę powrotną do domu Carol bezmyślnie paplała. Zrobiła się swobodna i nonszalancka; przybrała pozę „w każdej chwili mogę odejść". Tim wysadził ją przed domem i odjechał.

Gdy później wrócił do domu z przyjacielem, zastał mnie na pakowaniu wszystkich jego rzeczy do pudeł i ustawianiu ich za drzwiami jego pokoju.

– Wyrzucasz mnie – powiedział oskarżycielsko.

– Nieprawda – próbowałam odpowiedzieć, ale nie mogłam dojść do słowa. Chciałam mu wyjaśnić, że po prostu nie mogę znieść poruszania się po domu z poczuciem, że rzeczy Tima okrążają mnie ze wszystkich stron, że zamykają mnie w pułapce, z której nie ma ucieczki. Nie czułam się już bezpiecznie w obecności jego rzeczy. Nie chciałam, żeby odszedł. Nie chciałam tylko dzielić z nim dłużej mojego świata.

Pragnęłam powrotu stanu z odległej przeszłości, ale niewinność naszego związku została skażona i Tim był już teraz inną osobą. Wyprowadził się. Po pewnym czasie wprowadziła się Karen.

Rok akademicki przyszedł i przeszedł. Zaliczyłam go śpiewająco i stanęłam w obliczu niepewności, co robić dalej, skoro skończyłam studia. Nie mogłam znieść tej myśli. Uniwersytet był jedyną rzeczą stałą w całym tym chaosie. Porządkował moje życie, pozwalając mi zarazem zachować bezpieczny dystans w kontaktach z ludźmi utrzymywanymi za pośrednictwem książek i teorii. Dał mi wolność wyboru, czego chcę się uczyć i wolność uczenia się na swój sposób i w swoim tempie. Liczne i różnorodne oblicza życia uniwersyteckiego zapewniły mi także fasadę normalności. Postanowiłam kontynuować studia. Za temat pracy magisterskiej obrałam „Dewiacje i normalność"; materiał zaczerpnęłam z życiorysów ludzi, z których wielu, jak niegdyś ja, mieszkało na ulicy.

Będąc bystrą imitatorką, umiałam wychwytywać fragmenty rozmów w niemal niezmienionym kształcie. Jako Willie nauczyłam się w pewien sposób rozumieć moje pokrętne poczucie przynależności i zdolność do autoekspresji, co stało się dla mnie podstawą teorii mającej wyjaśnić, dlaczego niektórzy ludzie wykorzystują, krzywdzą lub okradają siebie samych lub innych. Był to dla mnie element nieustającej pracy nad zrozumieniem tych aspektów mojej własnej osobowości. W końcu doszłam do przekonania, że u wszystkich ludzi funkcjonują te same mechanizmy, tyle że niektórzy są bardziej od innych zasupłani w sensie umysłowym, emocjonalnym lub społecz-

nym. To sprawiło, że zaczęłam lepiej rozumieć, co zrobiła dla mnie Mary. Pomogła mi rozplątać węzły umysłowe, ale emocjonalnie i społecznie pozostałam daleko w tyle, co od czasu do czasu stawało się przyczyną zamieszania.

Wybrałam sobie promotora, z którym, jak sądziłam, mogłam znaleźć wspólny język. Koniec końców właśnie fakt, że byłam w stanie znaleźć z nim wspólny język, omal nie kosztował mnie mojej pracy.

Wybrałam go w zasadzie z powodu jego głosu. Miał bardzo charakterystyczny głos, w którym umiałam się zatracić. Ponieważ mówił i mówił bez końca, nie niepokojąc mnie, nie musiałam się od niego odcinać. Po drugie, jego sposób postrzegania świata nie wydawał mi się bardzo różny od mojego. Poddawał w wątpliwość istnienie niepodważalnej rzeczywistości, wszystko uważał za względne i silnie identyfikował się ze swoimi robotniczymi korzeniami, co dawało mu pewne zrozumienie, jak to jest dzielić świat na „nich" i „nas".

Przez cały okres pisania pracy moje zachowanie stawało się coraz to bardziej i bardziej dziwaczne. Byłam niezmiernie zazdrosna o to, co napisałam i odmawiałam pokazania mu choćby fragmentu. W osobistych rozmowach kwestię, pod jakim względem moje życie było zbieżne ze zgłębianiem tego konkretnego tematu, traktowałam w najwyższym stopniu wymijająco. Mój promotor niezmordowanie poszukiwał odpowiedzi na te pytania, zmuszając mnie do odpowiadania zagadkami. Byłoby mi łatwiej, gdybym umiała kłamać, ale każde kłamstwo ujawniłoby więcej z tego, co miałam do ukrycia, niż moja umiejętność ukrywania się i ucieczki.

Mój promotor był może wrażliwym człowiekiem, ale bywał także sarkastyczny, a czasami uciekał się do podstępów, próbując przebić się przez moje uniki. Przypuszczam, że dziwił go i bawił fakt, iż jego sarkazm spływał po mnie jak woda po gęsi. Choć pod innymi względami byłam inteligentna, subtelności jego prowokacji i kpin były dla mnie nieuchwytne. W końcu zdał sobie z tego sprawę i spytał mnie nie owijając w bawełnę, dlaczego jestem taka niekonsekwentna. Nazwał mnie enigmą. Wróciłam do domu i odszukałam ten wyraz w słowniku.

Bardzo się starał do mnie dotrzeć, ale ja uciekałam najszybciej, jak mogłam. Porozumienia nie ułatwiał także fakt, że prowadziłam wówczas życie dość niebezpieczne – czasem zastanawiam się, czy nie wystawiałam się na cały ten zamęt i niebezpieczeństwa celowo, aby zmusić się do odczuwania czegoś.

Myślę, że mojego promotora też to zastanawiało. Zwrócił uwagę na ciągłe zmiany mojej osobowości, których najbardziej bezpośrednim odzwierciedleniem był sposób, w jaki się ubierałam. Spytał mnie, czy też to zauważyłam.

Podobnie jak postacie, które stworzyłam, mój ubiór odzwierciedlał stałe zmiany mojej osobowości.

Jako istota, która najchętniej w ogóle by znikła, ubierałam się niecharakterystycznie w używane ciuchy które, jakże odpowiednio, nie wyrażały niczego. To było najbliższe prawdy o mnie. Kiedy indziej ubierałam się konserwatywnie, staroświecko, jak osoba przedwcześnie postarzała. To byłam ja – kombatant zbyt wielu wojen. Po-

tem znów, w uderzającym kontraście, wkładałam coś krzykliwego i prowokacyjnego. Wkraczałam dumnie do gabinetu mojego promotora jak chodzące dzieło sztuki, ruchomy spektakl; ja pozbawiona uczuć, do których dałoby się dotrzeć i wnikliwości, którą dałoby się pobudzić.

Opiekuńcza troska mojego promotora nie zdała się na nic mojej pracy, natomiast bardzo pomogła mnie samej. W tamtym czasie był w moim życiu jedynym obiektywnym lustrem. Ta część mojej osobowości, której dotyczyły jego uwagi, została ze mną jak fotografie w albumie, który przeglądałam, gdy chciałam sobie przypomnieć, kim byłam i gdzie.

Z lęku przed pokazaniem mu ostatecznej wersji mojej pracy odwlekałam napisanie, a potem oddanie mu jej do ostatniej chwili. Z biegłością chirurga słów usunęłam z niej wszelkie co bogatsze środki ekspresji. Poza zwięzłą dedykacją nie było w niej ani jednego osobistego elementu. Zaczerpnięte z życia fragmenty, którymi posłużyłam się dla zilustrowania tekstu, rzucały się w oczy jak perwersyjna kpina z własnej niezdolności do odsłonięcia się pod względem emocjonalnym przed czytelnikami. Praca była tak kliniczna i sterylna jak zestaw narzędzi chirurgicznych, co w charakterystyczny sposób odzwierciedlało moje oddzielenie od świata i od każdej części mnie samej, która – jak moje postacie – wchodziła z nim w jakieś związki.

Tim znowu zaczął do mnie wpadać, starając się ocalić przyjaźń, którą na jego oczach podeptałam. Walczyliśmy zaciekle, przy czym on zwykle zajmował drugie miejsce (co bardziej niż o czymkolwiek innym świadczyło o sile naszych lęków). Zaczęliśmy w pewnym stopniu naprawiać szkody, gdy sprowadziła się Karen.

Były moje urodziny. Zaprosiłam Tima. Wszyscy troje – Carol, Karen i on – stali wokół stołu elegancko nakrytego starym koronkowym obrusem. Kryształowe kieliszki, które dostałam na dwudzieste pierwsze urodziny, napełniono winem. Wzniesiono toast. Rozległo się „Sto lat" i cała scena zaczęła z wolna przesuwać się przed oczami Donny, która stała jak skamieniała, nie śpiąc a przecież śniąc. Wstrząśnięta, bezwiednie otworzyłam usta. Widziałam już to wszystko kilka lat wcześniej, we śnie, dokładnie tak, jak się teraz działo. Akurat gdy Carol zaczęło się wydawać, że jest względnie normalna, uświadomienie sobie tego zburzyło jej świat. W jakiś dziwny sposób takie rzeczy wciąż jej się zdarzały.

Rok akademicki dobiegł końca. Na pewnym etapie myślałam o dalszych studiach, ale mój lęk na myśl o tym, w jakim stopniu mogłyby mnie odsłonić tak długotrwałe związki międzyludzkie, był po prostu zbyt silny. W moim ostatnim tygodniu na uczelni mój promotor zaczął mnie widzieć taką, jaka byłam.

Ciekawa byłam, czy zdawał sobie z tego sprawę, gdy wręczałam mu pożegnalny upominek: wiersz w formie zagadki. To był z mojej strony potężny wysiłek. Wiersz miał być gestem podzięki za jego zainteresowanie, cierpliwość i wsparcie. Jego treść była próbą wyjaśnienia dylematu, którym żyłam i który starałam się przezwyciężyć. Przyjął podarunek z wdzięcznością. Szczerze wolałabym, żeby go przyjął ze względną obojętnością. Jeszcze nie całkiem opanowałam sztukę przyjmowania komplementów i wyrazów wdzięczności.

Przerażała mnie myśl o tym, co mam robić dalej. Dużo pracowałam wolontaryjnie w rozmaitych środowiskach. Dało mi to praktyczne doświadczenie w dziedzinie pracy socjalnej, co w połączeniu ze wszystkimi przedmiotami, które studiowałam na uczelni, pozwalało na staranie się o „prawdziwą posadę". Moje CV dzięki licznym referencjom prywatnym i zawodowym wyglądało imponująco. Nie minęło wiele czasu, a otrzymałam dwie oferty zatrudnienia, a więc miałam nawet możliwość wyboru. Jedna dotyczyła pracy z dziećmi, coś, co już wcześniej robiłam. Druga – pracy w schronisku dla bezdomnych. Wybrałam tę ostatnią.

David był jednym z setek ludzi, których spotkałam w nowej pracy. Zrobił na mnie wrażenie wyjątkowego nieszczęśnika. Był moim rówieśnikiem, lecz tak jak ja desperacko starałam się uniknąć samounicestwienia, tak on desperacko do niego dążył. W moich oczach symbolizował istotę, którą byłam w stanie największej beznadziei. Do głosu doszedł instynkt opiekuńczy Williego; miałam oto odegrać w praktyce rolę Mary jako psychiatry. Moje biuro było otwarte dla każdego, kto chciał przyjść i rozmawiać o swoich nadziejach, lękach i marzeniach, które tak wielu z nich codziennie topiło w alkoholu. David nazywał je swoim drugim domem, co umacniało poczucie własnej ważności Williego.

Moja postawa nie podobała się personelowi ośrodka. Powiedziano mi, że jest niewłaściwa i że w ciągu dwóch tygodni zyskałam wśród klienteli większą popularność niż pracownik socjalny w ciągu dwóch lat. Poza tym stwierdzono, że powinnam nauczyć się bratać raczej z pozostałymi pracownikami i mam spędzać przerwę na lunch w pomieszczeniu służbowym. Ponieważ Willie nigdy nie miał wielkiego poszanowania dla autorytetów, po dwóch tygodniach rzucił tę pracę.

David, pragnąc zyskać szacunek Williego, przestał pić. Nie zyskało mu to szacunku, ale wzmocniło w Williem poczucie własnej ważności i kompetencji jako swego rodzaju pracownika socjalnego. David dowiedział się, że rzuciłam pracę. Pożegnałam się z nim i dałam mu swój numer telefonu na wypadek gdyby chciał kiedyś pogadać.

Nie minęło wiele czasu jak zadzwonił, robiąc dramat, że został wyrzucony i nie ma się gdzie podziać. Willie, który spędził wiele czasu zbierając z ulicy inne bezdomne wcielenia nieporadnej społecznie Carol, przyszedł mu na ratunek i zaofiarował

dach nad głową w szopie na tyłach domu tak charakterystycznej dla szop i garaży, w których w minionych latach znajdowała schronienie Carol.

David był nałogowym kłamcą. Ściśle biorąc był typem nałogowca, koniec kropka. Całkowicie pozbawiony wiary w siebie, posługiwał się wszelkimi możliwymi metodami szantażu uczuciowego. Willie, który na poziomie intelektualnym przewyższał wielu ludzi, gubił się kompletnie w zetknięciu z cudzymi problemami emocjonalnymi. Carol choć pozbawiona empatii umiała stwarzać jej pozory. Płytkość jej umysłu i społeczna naiwność czyniły ją pierwszorzędnym celem. Czekała ją droga do piekła i z powrotem.

Każdy z nas ma w sobie wewnętrzne mechanizmy samoobrony oparte na reakcjach walki i ucieczki. Willie był uosobieniem moich reakcji na lęki mające źródło w świecie zewnętrznym – reakcji walki. Carol ucieleśniała reakcję ucieczki: ucieczki przed lękiem postrzeganym jako pochodzący z wewnątrz – lękiem przed uczuciami.

Związek, jaki odżył między mną a Timem, był znowu związkiem dwojga niewinnych dzieci. Tim bardzo się starał go utrzymać. I znowu, w najlepszych chwilach dochodził do głosu mój lęk przed bliskością i pojawiała się gotowa do ucieczki Carol.

Tim przyszedł zobaczyć się ze mną. Ponieważ ujawnianie uczuć w obecności innej osoby, a już zwłaszcza takiego oportunisty jak David, było dla mnie nie do zniesienia, ukryłam się za Carol, która starała się zabawiać wszystkich i rozśmieszać.

David się śmiał. Widział, jak Tim przynosił mi do pracy kwiaty. Słyszał, jak rozmawiałam z nim przez telefon. Tylko czekał na okazję, żeby go ustrzelić.

– Postanowiliśmy się zaręczyć, wiesz? – obwieścił nonszalancko.

Tim otworzył usta. Twarz mu stężała. Jakież napięcie brzmiało w jego głosie, gdy powiedział opanowanym tonem: „Gratulacje".

Nigdy dotąd nie słyszałam, że David zamierzał mi się oświadczyć. Wiedziałam, że to tylko gra, ale gdybym wtedy w pełni rozumiała bezmiar tego celowego okrucieństwa, albo była zdolna przyjąć w sposób naturalny głębokie i autentyczne uczucia, jakie Tim żywił dla mnie a ja dla niego, chwyciłabym go za rękę i uciekła od tego potwora, który tak podstępnie przebrał się za mojego wielbiciela.

W głębi duszy krzyczałam. W głębi duszy wyciągałam ramiona do Tima. Na zewnątrz Carol okupowała scenę, śmiejąc się, plotąc głupstwa i ignorując okrucieństwo, z jakim David pluł Timowi w twarz. W oczach Carol krzyk, łzy i rozpacz nigdy się nie odzwierciedlały. Były zawsze płytkie. Zawsze uśmiechnięte. Zawsze martwe.

Karen od razu dostrzegła w Davidzie gada, jakim naprawdę był. Próbowała mnie ostrzec, powtarzała, że nie chce go tutaj. Willie, chroniąc go przed wyrzuceniem na bruk, zaciekle odpierał jej zarzuty. Uwięziony w czasie Willie bronił w ten

sposób reprezentacji Carol przed życiem na ulicy; to właśnie takie życie doprowadziło ją kiedyś do sprzedawania się jako domowa prostytutka mężczyznom, którym nie przeszkadzało, że jest tylko dzieckiem.

Miałam samochód, pianino i trochę pieniędzy. W gwałtownym przypływie wściekłości na moją ślepotę Karen podzieliła dom granicami, przez co dalsze życie w nim stało się niemożliwe. Skazała mnie na to, czego tak bardzo próbowałam uniknąć. Carol znów była bezdomna. David widział we mnie to, co zdołałam do tej pory zbudować, w tym moją świadomość siebie.

Zamieszkaliśmy z Davidem w garażu domu pewnego znajomego, na prowizorycznym łóżku pod sczerniałymi i tłustymi drewnianymi belkami i pajęczynami. Carol znowu przyjęła rolę domowej prostytutki. Wieczna optymistka w obliczu przeciwieństw, jak zwykle starała się traktować sytuację lekko. David szydził z jej głupoty i dyktował plan działania. Carol słuchała go ślepo.

David nie chciał pracować. Był rekonwalescentem. Chciał jednak zwiedzić kraj, a środki na ten cel zamierzał uzyskać ze sprzedaży moich rzeczy.

David czuł się doskonale w pozycji kata. Wmówił mi, że nie mogę zrobić niczego bez jego pozwolenia. Nawet kiedy mi go udzielił, śledził mnie. Nie mogłam sama iść do sklepu. Nie mogłam z nikim rozmawiać pod jego nieobecność. Nie mogłam nawet sama chodzić do toalety. Czekał na mnie pod drzwiami i wymyślał mi, jeśli to za długo trwało. Znowu byłam biedną, niewykształconą, maltretowaną żoną.

Każdy, kto zetknął się z Davidem, gardził nim, a więc nawet gdybym znalazła w sobie dość odwagi, nie mogłabym rozmawiać z nikim innym, gdyż nikt nie byłby w stanie znosić jego towarzystwa na tyle długo, by nawiązać więź ze mną.

Zaczęłam myśleć o Timie; po mojej twarzy płynęły wielkie ciche łzy.

– Co z tobą? – pytał David.

– Nic – odpowiadałam, ozdabiając twarz przyklejonym uśmiechem. Rozpaczliwie pragnęłam porozmawiać z Timem i tylko ta myśl trzymała mnie przy życiu. Jak na ironię to właśnie lęk przed bliskością, jaka mnie z nim łączyła, powstrzymywał mnie przed powrotem.

Dotarliśmy na drugi koniec Australii. Byłam samotna, opuszczona i spłukana. W tropikach na górnym biegunie Australii była właśnie pora deszczowa. Osłabłam tak, że nie byłam nawet zdolna iść dłużej niż kilka minut. Dostawałam zadyszki i byłam bliska omdlenia. Na tę przejażdżkę i odwiedziny u siostry David wydał moje pieniądze, a gdy nie mieliśmy już nawet tyle, by dojechać moim samochodem do celu, odmówił podjęcia pracy.

Mieszkaliśmy na kempingu dla przyczep, ale musieliśmy znaleźć coś tańszego. Gdy wędrowaliśmy od domu do domu, pewna kobieta zaproponowała nam pokój w zamian za lekcje angielskiego dla jej siostrzeńca. David zaoferował moje usługi.